UMK
Toruń
300930

PISMA

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

TOM I.

Julia Hahlberga

PISMA

Goszczyński

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

PISMA

TOM I.

ZAMEK KANIOWSKI.
POEZYJE LIRYCZNE.

1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA TORUŃ

LWÓW.
NAKŁADEM FRANCISZKA PILLERA I SPÓŁKI.
1838.

300930

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

k 944/69

ZAMEK KANIOWSKI.

POWIEŚĆ.

KILKA SŁÓW
O
UKRAINIE I RZEZI
HUMAŃSKIEJ.

Jeden z celniejszych naszych poetow miał wyrzec o kaniowskim zamku: że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy; ale dziwię się patrząc na jego własne godło: *kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać.* Powyższy zarzut i tym podobne, spowodowały mię obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohatyrów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome

życie kozackiego ludu, a rys ziemi na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą; tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmilszą rozmaitość. Lasy i jary płaszczyzn składających większą część tej prowincyi od strony Bohu; skały nadbrzeżne z granitów, jak w okolicach Humania, Bohusławia i Korsunia; sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smiłą, okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior, zaczynające się morze stepów; jednem słowem: piaski i najżyźniejsze w świecie łany, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesołe laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza; bory nieschodzone i stepy nieprzejrzane, zgromadziły się tu, jakby na pojednawczą przyrody ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce: nie dziw że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców, i wypiastowała naród mogący stanąć między najdzielniejszymi. Dosyć słyszeć jego podania, jego dumy historyczne, dosyć obejrzeć pola najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dnieprowych porohach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporożcami, a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołowstwo, napady wodą i lądem na pobliskie okolice były ich zabawą i sposobem życia. Przezorny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta trzeciego słyną po całej Europie, już to pod atamanem Konasewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego Cesarza w Niemczech. Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludzkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kaźmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się w ówczas z dzisiejszych gubernii Czerniechowskiej, Połtawskiej i Charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru posiadało teraźniejszą guberniję Kijowską i część przyległą Podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można i łącząc dumne własne za-

miary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo naszych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga przeddnieprzańska została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozdwojeniu, to prawdziwie Kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą. Częste było chwianie się ich Hetmanów między Polską a Moskwą; lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Używszy we Szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co tylko podstępy i waleczność podały, uległ z Karolem dwunastym szczęściu Cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić Kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale jako zdrajcy pochwytani i potraceni. Powoli godność Hetmana została czczym tytułem; mniemanemu Hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu; nakoniec Państwo kozackie podzielone na gubernije, a Siczowych czyli Zaporożców zapędzono w liczbie kilkudziesiąt tysięcy nad brzegi czarnego morza, gdzie dotąd

stanowią obronną liniję przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w r. 1768 był ostatnią konwulsyą konającego ciała Kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głownym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej ślachty, intrygi Czartoryskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących niedołężność króla, i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach *Barską konfederacyę*. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im Politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nienawiść ruskiego pospólstwa ku gnębiącym go panom i spólność wiary z pograniczną Moskwą, dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytępienia polskiej ślachty, przynajmniej w ruskich prowincyach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie roku 1768 przebył Dniepr w okolicy Czehryna z kilkunastą towarzyszami, nieznany nikomu zaporoski kozak, nazwiskiem Żeliźniak; i zaraz w skutku porozumień się z popami ruskiemi i pospólstwem odbyło się poświęcenie noży, przy nocnym obrzędzie w monastyrze św. Motry, położonym samotnie śród gór

i lasów nad Taśminą, w powiecie Czehryńskim, o mil dwie od miasteczka Alexandrówki, idąc na północ.* Niedaleko spomnionego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował; było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzyjał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy, śród rynku, pop ruski, przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz Imperatorowej Katarzyny, który obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kąkolu, to jest wytępienie ślachty, księży i żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeliźniaka, jako mianowanego przez Imperatorowę księcia Smilańskiego i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

We mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spis i noży, a w krótce Ukraina cała, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Owczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak nagłemu szerzeniu się buntu; zjawienie się kilku wysłańców Żeliźniaka w najodeglejszych miej-

* Zdaje się że nie w jednem miejscu noże poświęcano. Widziałem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monastyru w puszczy Łebedyńskiej, niedaleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

scach Ukrainy rozniecało pożar dokoła; całe wsi szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedyńczem usiłowaniem; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy, lub do Humania: a Żeliźniak z okrzykiem: *O! tak Lasze po Słucz nasze!** swobodnie posuwał się ku zachodowi, i bez przeszkody pod Humaniem stanął.

Humań, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii Kijowskiej, było w owym czasie przeciw niećwiczonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy polskich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli, i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą; można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów, i mnóstwo okolicznej ślachty zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbrojną i swoją ludnością byłby się Humań obronił, gdyby nie następna okoliczność. Szczęsny Potocki, dziedzic Humania napisał do Gonty, że mu dwie wsi daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeństwie, i Humań obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego

* O tak Lachu (Polaku) nasze panowanie po Słucz. Słucz rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udzielnego ruskiego Państwa.

Mładanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwoch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą, i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeliźniak się zbliżał. Przerażenie powszechne podsycane ciągłemi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw dręczyło zamkniętych w samym warownym Humaniu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeliźniakiem i wyjeżdża na przeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokołówki; kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Nie długo trwała niepewność zamkniętych w Humaniu. Kozacy Żeliźniaka, albo jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku zwanego Greków i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i cały jego oddział przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Mładanowicz całą nierozmyślność swojego postępku i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego: „już za poźno!" Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi; wszyscy z rozpaczy chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu; udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Mładanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się: pomimo oporu innych Mładanowicz

zezwala. Gonta przybywa pod bramy, ale w liczniejszym orszaku niż była wymowa; puszkarz chciał dać ognia, Mładanowicz połą od sukni nakrył zapał działa, Gonta wjeżdza a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie działa, i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeliźniaka.

Pierwszy Mładanowicz padł ofiarą niedołężnego swojego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dla tego, że był chrzestnym ojcem jego dzieci. * Śmierć Mładanowicza była hasłem rzezi. Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie o ucieczce tylko myślało. Szczupła liczba

---

* Znałem jeszcze w roku 1830 jedno z tych dzieci chrzestnych Gonty, córkę Mładanowicza. Jej tylko brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją pod swoję opiekę i na trupach rodziców oddał ją za żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powieszono a jego następcą został pułkownik polski Kreps, po którym wdową ją poznałem. Kochana to od wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć, w takim wieku. Napisała pamiętniki swojego życia; żałować by trzeba gdyby zaginęły. Są w nich ciekawe szczegóły tyczące się nietylko rzezi humańskiej, ale wielu pierwszych domów polskich, między które los ją rzucał.

broniących się, nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazylianów. Dobyli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru ks. Kostecki miał mszą właśnie i lud wtedy błogosławił: strzał ruszniczny z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nieoszczędzono. Wkrótce scena mordu, ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała, szesnaście tysięcy osób miało życie utracić rozmaitemi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazylianów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napełniona była we dnie snującemi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozlegała się wyciem psów i wilków.* Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem Humańskim obwołany, Żeliźniak zaś z czę-

---

* Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: Rzeź Humańska. Napisał go niejaki Darowski, który był w ówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szacowny ten dla swojej autentyczności zabytek, w rzadkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nieumiałem.

ścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprawił.

Tymczasem wojewoda Stempkowski mianowany Regimentarzem z nieokreśloną władzą użycia wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebespieczeństwo, nadciągał w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków, nędzny koniec ich zawodu. Półkownik moskiewski szedł oddzielnie, udając że im sprzyja stanął tuż przy nich obozem, i posłał Goncie niby na znak dobrej przyjaźni złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczerzą go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych. Wieczerza długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeli się hajdamacy okutymi w kajdany śród Polaków i Moskalów. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw jakie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanemi sposoby mordowano. Gontę stracono w Humaniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przeniosł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żeliźniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie hajdamaczyzną i kolijewszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi osnułem Kaniowski zamek; teraz pytam jaki jej duch być powinien?

Popełnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popełniamy liczne błędy, z tąd tylko że nie znamy swojego kraju. Nie w saméj literaturze czuć się to daje.

Za nadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Z resztą wiem dobrze że przemowa i przypisy nie naprawią ladajakiego tekstu. Każdy za siebie.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ZAMEK KANIOWSKI.[1]

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1.

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów, po jarach, górach, rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły wokoło.

2.

Wietrzna jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd* igra po rozdrożu.
Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego źwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypanie głównej szubienicy:
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą, czasami pobrzękując krzywą,
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo:
To cisza nocy w myślach go ponurza;
To szubienicy skrzypnienie ocuci;
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,

* Podług mniemania ukraińskiego ludu, nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców, i rozmaitemi sposobami stara się ich w bezdroża uprowadzać; a wicher nocny uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadomszych nawet położenia miejsca. *Przyp. Wyd.*

Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia, —
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia
Gdzie, baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje,* coś po drodze bieży.
Tfu! W imię ojca.... To tumany diable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę** i szablę,
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3.

W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą, i zagasł tam w krzaku:
I spiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten spiew, znajomy, budzi dreszcz w kozaku.
Alboż to dziwno że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie),
W burzliwem sercu syna Ukrainy,
Ocknęły nagle burzliwe uczucie.

---

* Wyraz miejscowy. Słowo majaczyć niéma może odpowiedniego w czystej polszczyznie: migać w dalekości, ćmić się, ukazywać, — tłómaczy jakożkolwiek jego znaczenie. Właściwie polskie majaczyć co innego wyraża. *P. W.*

** Janczarka: rodzaj strzelby tureckiej. *P. W.*

Oho! już niéma kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza;
I noc mokremi tumanami bije,
I szubienica skrzypi, i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany,
I wicher, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

4.

Luba puszczyka siedzi naperzona.[2]
W szczelinie wieży dawno jęczy ona:
Że miesiąc sciemniał, wiatry na nię wyły,
I na tak długo odleciał jej miły.
Wszak-to lot jego usłyszała w górze?
Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,
Błądzącą ręką za mury się bierze.
Plątane nogi pośród nocy stawia.
— »Czyś tu, Nebabo?« scichutka przemawia.
— »Tu, tu, Orliko!« szepnął głos przy murze.
— »O jakżem rada żem wreszcie przy tobie!«
Głośniej i śmielej dziewczyna wyrzekła.
»Jakże tu ciemno, jak straszno! jak w grobie.
»Chętniebym jednak, za każdą zręcznością,
»I do samego uciekała piekła
»Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
»Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!
»Ale mnie dobrze skoro jesteś ze mną!«

Kozak, tymczasem, uchylił swej burki,
I, utuloną, do boku przycisnął;
Bo przykry wicher pośród murów świsnął,
I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5.

Resztę rozmowy utaja milczenie.
A i na wieży miłe posiedzenie
Gdy rozkochane zlecą się puszczyki.

Puszczyk pierwszy.

Skąd ci ten pospiech i wesołe krzyki?

Puszczyk drugi.

Patrzaj-no, patrzaj, miluchna,
Oczkiem żywem jak blask próchna;
Patrz-no i śmiej się: bo twe śmiechy miłe
Jak tej matki wrzask przestrachu,
Którą niedawno ostrzegałem, z dachu,
Że chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę:
Jak diabli przy wisielcu snują się orszakiem.
Co oni wyrabiają z tym biédnym kozakiem!
Cha, cha, cha!
Ten, zmaczanym snopem trzciny,
Jak na wszystkie strony macha,
Jakie grube mgły rozsiéwa;
A ten obudza wiatry dębiny,

Jak biega wkoło, gałęziami smaga;
A ów mu pomaga,
Jak skrzypi szubienicą! aż prawie wyrywa.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy.
To kochanka kozaka, widzić go przychodzi;
I kozak wié o niej, lecz go diabeł zwodzi;
Co tu kobiecych snuje się postaci,
Głosów podobnych co tu z każdej strony!
Patrz! posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony
I z oka traci!
Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jezdziec majaczy:
Podjeżdża ku szubienicy:
Szyldwach do rusznicy:
Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
Diabeł dmuchnął,
Wszystko z wiatrem uleciało:
A przed oczami szyldwacha
Pożółciało, pociemniało,
I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!
Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Coż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Aha! już kozak znalazł dziewicę.
Jezdziec pod szubienicę.
Patrz! trup się urwał; patrz, wisi drugi;
Diabeł skory do posługi.
W jakiej się pysze
Wesoły diabeł kołysze,
Jak zabawia towarzysze!
Jakie skoki, jakie śmiéchy!
Cha-cha! chy-chy!

Puszczyk pierwszy.

Coż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Patrz! jezdziec ukradł trupa i pędzi przez błonia,
Aż mgła wstaje z konia;
Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczyk pierwszy.

Coż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Otumanili * kozaka.
Poziera z pod krzaka:

---

* Otumanić: obłąkać, zaćmić zmysły, — coś podobnego. Prowincyjalizm. *P. W.*

I szubienica stoi, i diabeł się chwieje;
Kozak spokojny, a diabeł się smieje!

Puszczyk pierwszy.

Coż się stanie z wisielcem jak kogut zapieje?

Puszczyk drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczyk pierwszy.

A jak trupa nieznajdzie, co szyldwacha spotka?

Puszczyk drugi.

Zmienić diabła raczy.

Puszczyk pierwszy.

Coż to wszystko znaczy?

Puszczyk drugi.

Szatańska pustotka:
Cha, cha, cha!
Szyldwach trupa nieustrzegł, powieszą szyldwacha.

6.

A tam u dołu jakie słychać gwary?
To słodkie słowa rozkochanej pary.
— „Coż on ci prawił, moje ty kochanie,
„Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?"
Pytał Nebaba. — „Jego piosnka stara,
„Tak, że już teraz i niezważam na nią:
„Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,
„Jak znakomitą zostałabym panią,

»Gdybym zechciała zostać rządcy żoną.
»Prawił jak dziecku. Szczególne gadanie!
»Jakby mię wkoło szanowano, czczono;
»Potem dwór jaki, a jakie ubranie!
»Że, z resztą, w szczęściu niemogę być takiem
»Choćby z najpierwszym złączona kozakiem.«
— »I ty go słuchasz, kochana Orliko?«
Przerwał Nebaba; a nagłe przerwanie
Dosyć odkrywa, jak wzmianka o panie
O serce jego odbija się dziko.
»Lepiej byłoby niesłuchać, Orliko!
»Jednak ty kochasz tylko mnie samego?«
Tak wrzące, nagłe były słowa jego,
Że między niemi dosyć czasu minie
Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:
— »Ach! tybyś może mniéj uwierzył mowie.
»Czy ciebie kocham, niechaj ci to powie!«
I pocałunek płonącej miłości
Złożyła, w ogniu, na usta zazdrości.
— »Orliko, słuchaj: niech go niebo strzeże
»Kogo postawi piekło między nami!
»Jutro, dziś jeszcze!.. Widzisz o-te wieże
»Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...
»A czyliż darmo i ja noszę szablę?
»Jeźli podszepty uwiodą go diable,
»Orliko, słuchaj, i Bóg nieustrzeże!«
I dla uniesień dzikich przyświadczenia,

W dziewicze usta zionął takie żary
Jakiemi, drzewo wypala, dłoń mary,
Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.
A chociaż ogniem grały jego żyły,
Usta pałały i oczy iskrzyły;
Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa,
I te do pierwszych dodał jeszcze słowa:
„Takie jak czujesz niezgasną upały!
„Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!
„To pieczęć klątwy na skarbach twej twarzy;
„A kto je ruszy piekło go oparzy!"
Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki:
Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
Słyszyć wyroki co niosą zagładę.
A strach się w sercu obudził Orliki.
I północ w dzwony zegaru uderzy,
I kochankowie poszli gdzie sen woła.
I wszystko cicho u drzymiącej wieży,
I wszystko cicho pod zamkiem dokoła.
Chyba niekiedy puczczyk zachychocze,
Że syny piekła, do pustot ochocze,
To echo zamku draźnią swym tupotem,
To znowu, zęby wyiskrzywszy smocze,
Błądzące ognie udają nad błotem.

7.

Gwiazdo, świetna, wesoła, jak anioł młodości!
Gdy, na złotym promieniu, wiedziesz z sobą lato,
Jak jej nadzieja, wtedy, spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj, mglistą jesieni osłoniona szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnej dziewczyny,
Gdzie powietrze, pogodne jak blask jej oblicza,
Czaruje, w swych powiewach, urokiem jej tchnienia;
Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne jak jej pierś dziewicza:
Gdzie wietrzyk harmoniją pieśni jej powiewa,
Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!
Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód, i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury!
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak, śród zdrajczej pieszczoty, piękność uwiedziona;
Ten listek, taki świeży, żalu niewyszepnie
Gdy z rodzinnej gałązki wiater go odetnie,

I, na wywiędłej braci, jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
Jękiem listka co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim himnem żorawi co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody co rzuca jałowe pastwiska;
Głuchym szumem co stęka w zmartwiałych wód łożu;
Konającym promieniem co z rosy połyska,
Gdy, raz ostatni, drżącą, zimny wicher ściska!

8.

Otóż i księżyc, z pod światów posady,
Jak cień zmarłego słońca, wyszedł blady!
Żyjącym ogniem igra Dniepru fala;
Urwistych brzegów zabielały piaski;
Jak cienie chmurek, majaczą wkrąg laski.
Lecz, z przeciwnego dnieprowego brzega,
Jak nawałnica, gdy się na świat zwala,
Grożąca ciemność czarny bór zalega:
A tylko, czasem, między jego cieniem,
A tylko, czasem, nad jego sklepieniem,
Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska,
I jaśniej buchnie łuno* od ogniska.

---

* W dobrej polszczyznie i w Lindem, łuna lub łona. Autor tak, zawsze, używa tego wyrazu. *P. W.*

9.

Gdy ziemia uśnie, księżyc wartę trzyma,
I nocne wiatry oblatują ciszę,
I sen ciemięzcy czujność ukołysze;
Bespieczna wtedy, pod jego oczyma,
Ochoczą młodzież radość przywoływa
Gdzie na nię czeka swoboda szczęśliwa!
Poniżej miasta, po nad brzegiem, dołem,
Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,
Stoją poważnie, z płowiejącem czołem:
Tam się na huczne schodzą wieczornice
Rześcy parobcy i hoże dziewice.
A gdy, nad jasnym sinych wód rozlewem,
I brzeg zasiędą i uwieńczą wzgórki,
I wiatry Dniepru poślą z cichym spiewem,
I wnet uderzą w piszczałki, bandurki,
Wierzysz natenczas, że to czarów siła
Zaklętą ucztę w nocy wyprawiła.

10.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonią,
Niech ziemia tentni gdy taniec zakręca
Z lekszej młodzieży uplecione koło,
Niech na ustroniu dziéwczę skryte połą,
Bijącem łonem rozgrzéwa młodzieńca.

Tam pod drzewami posiedzenie cichsze,
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy:
Tam, nieszczęśliwy znikły we złym wichrze;
Czerwony upior, co, północną chwilą,
Krew sennych dzieci wydaja z odźwiérka;*
Widma, oczami wartowana tylą,
Co rosę z kwiatów na śmietanę cyrka;**
Jęcząca w górze nieochrzczona dusza;
Latawiec, gwiazda co kobiet wysusza; —[3]
Litość i trwogę budzą na przemiany.

11.

Cyt! »Ho-hop, ho-hop!» odgłos smutny, znany,[4]
Smutny jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
»Topielec Ksenia! ach, topielec Ksenia
»Zbliża się do nas!» wołano dokoła.
Razem ustały i tańce i spiewy:
Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
Wzrok niespokojny zwrócili parobcy
W stronę, skąd słychać głos ten ziemi obcy.
»Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie!»

---

* Odrzwi. *P. W.*

** Cyrkać: wyraz miejscowy; znaczy skrapiać, tryskać. *P. W.*

Bliżej i bliżej i bliżej hukanie.
Aż oto razem i straszydło stanie!
Jakby skrzydłami pijanych szatanów,
Śród takich leci konwulsyjnych tanów.
Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu;
Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu;
W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi
Utkała gęsto warkocz skołtuniony:
Gwizdnęła, klasła, i, z wietrznemi kręgi,
Nagle we wszystkie rzuciła się strony.
»Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie!«
A jaki wkoło strach i pomieszanie.
Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
Jak przed szatanem, robią znaki krzyża;
Bo choć diablica ma postać człowieka,
Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka.
I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiéj
Z kim ona blisko, przy kim się uczepi.
»Ho-hop, Nebabo!« dokoła huknęła,
I jak tu spadła tak stąd i zniknęła.

12.

Już-to zamkowi lękać się potrzeba,
Gdy ją zesłało, ciężkiej kary nieba.
Dziwna istota! co, z pewnego czasu,
Ciągle przebiega miasto, z końca w koniec,
Z hukiem wędrowca gdy błądzi śród lasu.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Kto wie czyli to nie złej wróżby goniec?
Bo cera u niej od śmiertelnej bledsza;
Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika;
Dziwna jej żywość, jak radość puszczyka;
Głos jak psa wycie kiedy trupy zwietrza.
„Niech Bóg odwróci diablicę przebrzydłą!
„Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!"
Przebąkiwała drużyna zmieszana,
Zmieszana jeszcze choć znikło straszydło.

13.

Gdzież jest ataman, że, w gronie mołojców,
Na wieczornice dotąd nieprzybywa?
Gdzież jest ataman? każdy zapytywa.
Ataman: stary w kole starych ojców;
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędki jak połysk co biegnie żelazem,
Lecz, w swojej zemście, jak żelazo twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem:
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co, w drobnym pierścieniu,
Nad różowemi ustami się zwija;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co, burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA TORUŃ

Jak maszt bajdaku,* gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dnieprowej wodzie.
Szczęśliwa którą zaczepi uprzejmie;
Szczęśliwsza którą uściskiem obejmie;
Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w seledec** zaplecie!

14.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?
Siedzi on, cichy, w ciemnościach wieczornych,
Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba.
Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem,
Cicha krynica drzymie pod osiką, —
Tam przyszedł czekać, jeszcze przed zachodem,
Jak się umówił ze swoją Orliką.
Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,
Wlecze cię miłość piękną rzęsą jedną,
Jednem westchnieniem, jednym ocz promykiem.
Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki niéma.

---

* Bajdak: gatunek łodzi używanej na Dnieprze. *P. W.*

** Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę, z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli uplatać w wstążki, miłośne upominki swych dziewic. *P. W.*

A zakochany, w oku, w uchu wszystek,
Tak wokrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata, i liść się przerusza,
Orliki jednak jak niéma tak niéma.
Już, po sto razy, wzrokiem wypatrzonym,
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
Już, po sto razy rozeznał jej kroki
W bliskiego zamku zgiełku przytłumionym:
I zawsze błądził; aż, błądząc wokoło,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
I tak głęboko myśli w niem zanurzy
Jakby w zwierciedle serca swego burzy.
A tam błękity maluje odbicie,
I obraz jego w odbitym błękicie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuno tam słońca w zachodzie się mieni;
Obłędnym blaskiem gasnących płomieni,
Mierzchnące nieba gasi to rozżarza.
A kochankowi tak czas jakoś idzie,
Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
W górze, liść zwiędły nagiej osiczyny,
Sam na gałęzi, posępnie szeleści,
Tak, odumarły od lubej rodziny,
Sędziwy ojciec, bez pociech, w boleści,
Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
Do grobu dziatek utęsknia żałobnie.

Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy,
Mroczy się niebo i na dnie przezroczy:
W bledszym zachodzie, zorza zaigrała;
I, przez gałęzie bezlistnej osiki,
Zadrzały w wodzie żywe jej promyki:
Ach, jakie żywe! to oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jej cała:
Widzi, jak, z góry, krok przyspiesza skory;
A od pospiechu lica żywiej płoną,
A od radości częściej bije łono,
A od powiewu, co plącze kędziory,
I kraśne wstęgi po plecach rozwija,
Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
Już staje obok, już ją oto ściska:
Aż nagle zorza chowa się w obłoku;
Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku:
I, o wiek cały, szczęśliwość tak bliska!
A u kozaka taka myśl ponura
Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.
Niewie dla czego. Odsunął się w stronę,
Oparł na ręku czoło zamyślone;
Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
I razem ostygł: czemu wszystko? niewie.
A potem dobył kinżału z zapasa,
Obracał w ręku, igrał z blaskiem jego,
Probował ostrza: niewiedzieć dla czego.

15.

»Ho-hop, Nebabo!» diabeł, wichrem, hasa.
Niech-że cię smołą rozleje krzyż pański!
I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
Poznał ataman, po przelocie, ptaszka;
A że mieć z diabłem sprawę, nie igraszka,
Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
Więc się przeżegnał, obwinął się w burkę,
I, przyczajony, czekał pod osiką,
Aż się wykrzyczy i dalej pomacha
Lucyferowa opętana swacha,*
W diabelskim tańcu, z diabelską muzyką.
»Ho-hop, Nebabo!» a ona dokoła,
»Ho-hop, Nebabo!» a ona go woła.
A okiem błyska i martwo i sino;
Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.
Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
Wytropić jego niejesteś ty w sile!
Kiedy więc długo hukała, klaskała,
Z hukiem i klaskiem dalej poleciała.
Uniknął przecie strasznego widzenia:
Lecz trwożne serce niedobrze coś wróży;
Orliki niéma, a wabiła Ksenia.
Wszystko niedobrze: nie czas myśléć dłużej,

* Swatka. *P. W.*

I dłużej czekać; bo, hasłem wiadomem,
Z zamkowych ganków trąba się ozwała,
I strzał wieczorny zamkowego działa
Zatrząsł Kaniowa okolice gromem.

16.

Czy się spodziewać starosty* przybycia?
Czyli patrona pana rządcy święto?
Że tak zamkową salę wyprzątnięto;
Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnem go śrebrem suto zastawiono;
A, tak jak wielka, przez stołową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym krysztale,
Jarzące światła rzęsnym blaskiem płoną.
I sam pan rządca, wieczorem, przebrany
W nową czamarę, w pas złotem kapiący,
Rozkazał: aby strojono torbany,
By czystą odzież oblekli służący,
Hojną wieczerzą by zastawić stoły,
Odeprzeć lochy warowne żelazem,
Wytoczyć na dwór kilka beczek razem, —
Aby ten wieczór wszystkim był wesoły.

---

* Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości. *P. W.*

17.

Lecz na coż tutaj długie tajemnice?
Młoda Orlika już jest rządcy żoną.
Tylko - co ślubne światła pogaszono,
I ksiądz zdjął stułę, i zamknął kaplicę.
Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem
Tak pospiesznego tego rządcy czynu,
Choć dobrze znana jego miłość stała.
Ale Orlika! to-to dziw dla gminu!
Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
Niż zostać Polką umrzećby wolała....
Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
Wysławszy służbę surowym rozkazem,
Został się rządca sam z Orliką razem,
I coś poważnym zaczął rozhoworem.
Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
Jakby nagłego przestrachu wrzask dziki.
Rządca wciąż mówił; dziewczyna milczała,
Ucichł; dziewczyna znowu zaszlochała:
I słychać było, długo, nieprzerwanie,
Mieszane ciągle jej słowa i łkanie,
I, wzdłuż komnaty, poważne stąpanie.
I znowu potem groźna rządcy mowa,
Jak huk stłumiony rozległa się wnętrzem:
Prędzej urywał, prędzej chwytał słowa;
I ucichł, jakby odpowiedzi czeka:

A gdy dziewczyna, widać, ją przewleka,
Uderzył krokiem o podłogę prędszym,
I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrzękła;
A tu Orlika, jak przebita, jękła.
Musi być zadość srogiemu żądaniu;
Bo wrócił nazad, i, jak najłagodniej,
Tulił ją długo w ciągłem jej szlochaniu,
I z taką dumą, tak rad, wyszedł od niej!
Chłopak co spieszył na zamek z torbanem
Tak, koło okien przystrojonej sali,
Ciemno, otwarcie, mówił z atamanem;
Mówił jak wiedział, jak mu nagadali.

18.

Jeźli są słowa że, jak gromu ciosy,
Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie;
Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
Jak szatan zgrozy najeża mu włosy!
Jak, we mgle żółtej, wzrok jego słupieje!
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła.
Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się, wierna, za nóż chwyta ręka.

19.

Śród gwarów tłumnych, śród blasku powodzi,
Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
Które maluje ściana pałająca,
Że już do sali weszli państwo młodzi.
Po skręcie służby, po dźwięku talerzy,
Widać że młodzi siedli do wieczerzy.
A teraz w kolej puszczono puhary;
Bo tak powstali z miejsca godowniki,
I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
Ucichło troche; teraz, naprzemiany,
Z wesołym spiewem, słychać teorbany.

20.

I nad dnieprowych sinym wód rozlewem
Igrają wiatry ze dźwiękiem i spiewem.
W kolejne czarki napój się rozléwa;
Snują się kołem rozpląsane grona,
Aż ziemia, z głębi, ciężko przyhukiwa,
Jak zadyszana poważna matrona.
Ataman spieszy, burką obwinięty,
Jak cień obłoku gnany od wietrzyka;
Minął już ulic spadzistych zakręty,
Teraz, przez tłumy, brzegiem się przemyka.

Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
Ani miłośne dumy zatrzymają;
Z wiatrem u uszu, z ponurością w oku,
Między ciekawą przemyka się zgrają.

21.

Czy-to cień jego po rzece żegluje?
Że, mimo częstych, wikłanych obrotów,
Tak nieodstępnie kozaka pilnuje
Jakby co chwila u brzegu być gotów.
To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
To znow, spokojnie, na falach się wiesza;
W prawy bok, w lewy, wprzód, wtył drogę miesza:
A pierś się jego nieozwie piosenką;
Scicha brzmi wiosło i pluska czołenko.
Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świécą,
Tak się w nierównym polocie, wydaje
Jak cień jastrzębia gdy, nad okolicą,
Krąży, za łupem, przez podniebne kraje.

22.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma;
Nadstawi ucho i strzeli oczyma:
Za nim-to, za nim, złowrogie klaskanie!
Więc razem w miejscu wstrzyma się i stanie.

I rzecze scicha: „Ha! szatańskie plemię,
„Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
„Próżno przeklęci piekłem ciebie zbroją,
„Skoro do skroni przyłożę pięść moją;
„Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
„Już ja się ciebie niedotknę daremnie!
„Zaraz tu razem i z tobą ulecą;
„Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!"
Otoż i marsem błysk oczu przymracza,
Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową;
A tu, tymczasem, burkę precz odtacza,
I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

23.

Wesele Kseni musi być niemałe,
Że, obleciawszy wokrąg miasto całe,
Znajduje wreszcie co tak długo szuka;
Wesele Kseni musi być niemałe,
Bo raźniej skacze, bo donośniej huka;
I, kłami piekła, dłonie larwy klaszczą,
I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
Jakże być wielkie musi jej wesele,
Że bardziej zbliża krok i tak już bliski:
Wszakże mu ona gotuje uściski:
Widać w jej ruchach, widać to w jej oku.
Kozak na wszystko odważa się śmiele;
Niezmruży powiek, niecofnie się w kroku.

Już, opętana, w konwulsyjnym rzucie,
Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie,
Już chwyta szyję dłońmi wywiędłemi;
Już..., i, omdlała, leży już na ziemi....
Tylko, pod pięścią, skronie zachrupały,
A na oblicze zdroje krwi buchały.
„Ho-hop, szatanie! Bierz teraz co twoje!"
Mruknął ataman, i szedł w drogę swoję.

24.

„Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą.
„Do niej się kieruj; zawsze, zawsze do niej!
„Tylko niech prędzej twoje wiosło goni,
„Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
„Przeprawa trudna, a drogi czas krótki.
„Ciszej, a prędzej!" Tak kozak ostrzega
Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
Kiedy pospiesznie odbijał od brzega.
Woda dnieprowa poważnie się toczy,
Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;
Na niespokojnej, na drżącej przezroczy,
Łamie się księżyc jak ognista łuska.
Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.
Szybko, za nimi, cofa się brzeg cały:

Głuszej ich wrzawa dolata Kaniowa;
Częściej po jarach światełko się chowa.
Już i szum puszczy zawiał im donośnie.
Cóż to, za nimi, coraz bardziej rośnie,
Im bardziej, z brzegiem, umykają góry?
Zamek-to rośnie; zna go wzrok ponury,
Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

25.

O, jak wspaniale, za nocy zasłoną,
Jak rzęsnem światłem okna jego płoną!
„Niech sobie płoną, niech i rzęśniej płoną!
„Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
„Jutro, pojutrze zaświta inaczéj!
„Biedny kto mojej zapragnął rozpaczy!"
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła,
Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak co u wiosła, —
Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie,
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to gdy światła obaczył zamkowe.
Już gniew ostyga w kipiącym przelewie:
Ale, jak piekieł mieszkańca zjawienie,
Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
Gorzkiem jątrzeniem długo myśl rozraża.

»Lepiejby było, moja pani miła,
»Sto razy lepiej, jakem ci kochankiem!
»Abyś, lat tysiąc, czerepianym* dzbankiem,
»Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła;
»Lepiejby było, dla twej jasnej doli,
»W grubej siermiędze, z nieochajnym chłopem,
»O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli,
»Krwią się rozpływać nad nieswoim snopem, —
»A potem płakać, pod skopconym daszkiem,
»Rano i wieczór, że twe białe ciało,
»Od mrozu, skwaru, do krwi popadało:
»Niż, będąc tobą, pobracić się z Laszkiem
»Niż przespać jednę noc pod adamaszkiem!»
Plusnęły o brzeg rozpędzone wały,
Daleko na przód chyża wbiegła łódka;
Prędko kozaka dumy się przerwały,
Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia:
Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary.
Są-to własności jak zemsty tak chwały,
Że najzgubniejsze, najdziksze marzenia
W cnoty i szczęścia powaby ustroją:
Tak, gdy chcą uwieść, kuszące nas mary
Światłem aniołów barwią szpetność swoją.

* Glinianym. *P. W.*

CZĘŚĆ DRUGA.

ZAMEK KANIOWSKI.

CZĘŚĆ DRUGA.

1.

Spał świat głęboko, nocą otulony.
Obchodząc wartą ciemne człeka gniazdo,
W milczącej części, szła gwiazda za gwiazdą;
Niebo przez chmurne patrzało zasłony:
Ucichły hasła, łańcuchy drzymały;
Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
I młoda para, w małżeńskiej komnacie,
Na łożu pysznem, na snu majestacie,
Spoczęła mile śród puchów zatopu
Osłonionego w drogie adamaszki,
Co, fałdowane, śród wiatru igraszki,
Spływały nadół ze złotego stropu.
Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem;
Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
Smutem jej hasłem zawyje pod gmachem.

A potém wokrąg milczenie nanowo;
Tylko, łagodnie, brzęk miły i głuchy,
Jakim powietrzne igrające duchy
Noc ożywiają, gra w ciszę zamkową.

2.

Któż-to zatętniał, stuknienieżto czyje
Dało się słyszyć za drzwiami komnaty?
Nie pierś-to lubej żądnem sercem bije,
Lecz goniec puka, od granicznej czaty.
Dyszy pospiechem, lica trwogą blade.
„Wstań, panie rządco! ciepłe porzuć łoże:
„Złe ci nowiny w tej chwili przywożę;
„Wstań, i posłuchaj, i weź jaką radę.
„Oto nadbrzeżne słyszały dziś straże,
„Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczki,
„Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze:*
„Wyraźnie obóz przeprawiał się Szwaczki,**
„Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
„Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
„Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą.
„Zamek choć mocny, lecz osada mała
„Aby przed silnym szturmem się ostała,

---

* Czahar: las drzew rozmaitego gatunku. *P. W.*

** Jestto prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina który tamże robił powstanie w r. 1768. *Przyp. autora.*

»Zwłaszcza gdy razem przyjdzie bronić miasta;
»Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
»Bo już gotują i kosy i noże:
»A nawet w zamku kto wie co być może?
»Zaradzić złemu jak się tylko zjawia,
»Leć do starosty:[1] on, śród Bohusławia,
»Poi gromady, rozstrzeliwa baby;
»Niechaj tu przyśle posiłek choć słaby.
»Leć nim rozświta, nim się zamek dowié;
»A my tu będziem na wszystko gotowi.«

3.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi:
Szwaczki-to obóz, nie w dobrym zamiarze,
Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze.
Gdzie, w ciasnem łożu skręconej odnogi,
Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszczę,
A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą
Nad jej sklepieniem, wkrąg się już rozwlekła, —
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Warzył, dla ziemi, nad płomieniem piekła,
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady,
Niedarmo czujne pałają ogniska,
I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,

A szron sędziwy na darniach połyska.
Choć leżyć oni zdają się spokojnie,
Ach, krwi-to dzieci, i myślą o wojnie!
Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
Dłonie na nożach, choć oczy usnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A, dniem i nocą, siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak, na ustawnej straży,
Niezgasły ogień, czasami, rozżarzy,
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic, w tym puszczy mroku,
Nieujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
Niechaj ptak klaśnie gałęzią zdaleka,
Niech pies w dalekim futorze* zaszczeka, —
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie,
I, pochwycone, wnet rozróżnić umie.
I znowu oko zwrócił do ogniska,
I znowu piką poprawił płomienia:
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.

---

*Futor: zagroda na łące, lub pośród lasu, w pewnem oddaleniu od wioski. *P. W.*

Pośród bijącej krwawej łuna fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Dalej, noc czarna; tylko, w ciemnej dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
Tam się błysk stosu ostrza piki czépia;
Tu wpół-dobyty nóż, czasem zabłyska, —
Jak rozdrażnionej gadziny oczyska.
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej,
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać co każda z nich marzy,
To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatej:
Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
A tam, przyjaciel i wierny, choć panu
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzonem okiem,
Niby kochanie śród świata tumanu.
W samej cichości, obraz niespokojny
Nadzieją mordów kołysanej wojny.

5.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełniej płonie,
Dwoch tam usiadło; a przy nich dwa konie.
Po tym wytwornym atamańskim stroju,
Co, drogiem złotem, czasami, odbłyska
Nagłe, nierówne spojrzenie ogniska,
Po tej postaci złożonej do boju;

Po wąsie, w czarne puszczonym pokręty;
Po dumie czoła, po oblicza krasie; —
Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
W milczeniu, siedział, burką wpół-opięty;
Spokojnie trzymał lewicę za pasem,
I głownię noża pogłaskiwał czasem.
„Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
„I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
„Inni swój snopek w naszem polu użną,
„Nim pospieszymy z tobą ku potrzebie:
„I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,
„Niżeli, w męskiej z niewiarą przeprawie,
„Ducha radością, ciebie krwią opławię!"
Tak mówił kozak, potrząsając głową;
I, z nocnej rosy, otarł noża ostrze:
Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
Wydaje komu przyciął tą przemową.

6.

Naprzeciw niego, jak odblask poczwarny
W chropawem lustrze, siedział kozak drugi:
Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A chociaż czoło starością bielało,
Młody rumieniec zalewał twarz całą;
A, choć ogniste, ledwo iskrzy oko, —
W zatyłej twarzy tak siedzi głęboko.

To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa:
Choć często, w ucztach, kręci mu się głowa,
I ciałem ciężki, i wiek długi liczy,
Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
Ale od Lachów, z dumy, obrzydzony,
I dumy Lachów zwie się wrogiem śmiele;
Więc chętnie stanął na powstańców czele,
I atamanem chętnie okrzykniony.
Zdaje się jednak, że (czy brak zapału,
Czy że kielichem zbytnie się rozgrzéwa)
Więcej, niżeli przystoi, spoczywa;
A tu kozactwo zraża się pomału;
Częściej i głośniej słychać między tłokiem:
„Czemu nieidzie w zamek co pod bokiem?
„Czemu gdy, świeżo, z Żelizniakiem Gonta
„Zawieść hulankę uspieli tak rączo, —
„On tylko, gnuśny, myślą się zaprząta,
„Złączyć się z nimi? Czemuż się niełączą?"
I nic niewiedzieć; korzyść badań zwykła:
Bo, przez natrętne naglony pytanie,
Jak zacznie szukać mowy w pełnym dzbanie,
Usnie wprzód z tajnią nim język wywikła.

7.

Niewiele tknął się Nebaby żałobą,
Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą:
Jak nie swojemi popatrzył oczami,
Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął;

Uderzył w ogień, — gdy prysło iskrami;
Wpół-dosłyszanym językiem przebąknął:
»Widzisz te iskry, słuchaj, atamanie!
»Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
»Kto zrobić stałem chce serce kobiéce,
»Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy,
»I liczy iskry, te wszystkie niech liczy!
»Zapomnij z biesem o twojej Orlice!«
— »Już ja się pewno toi* nienapiję,
»Aby mi serce wyzdrowiało chore;
»Ani mi rady potrzebne tu czyje!«
I szydnym gniewem wzrok Nebaby gore.
»Czy jest na świecie Orlika, czy niéma,
»Co nam do tego: dla nas bliska zima;
»My puszcz tułacze, Polacy przed nami:
»Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę, —
»Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!
»Słuchaj, kozacy jak sieką zębami!
»Bo, biedni, nawet niemają i tego
»Czem ich ataman tak często się grzeje;
»I głód ich strawi, i wicher zawieje,
»I jak po swoich Polacy tu zbiegą.
»I sami, z głodu, poczekawszy troche,
»Wlecą w sidełka, jak ptaszyny płoche!

---

* Toja: ubotaników, tojad mordownik. Własności jego narkotyczne uważa lud pospolity za lekarstwo na smutki. *P. W.*

„Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze,
„Płynąć, bez chęci, po pod lodem w Dnieprze?
„Albo z gałęzi poglądać w obłoki,
„I, z każdym wiatrem, straszyć, w gniazdach, sroki?"
A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
Ode dna flaszy bełknął głuchym łykiem,
I nieposłusznym zaczął coś językiem.
Oko Nebaby zasępione dziko.
Kiedy się serce zachmurzy urazą,
Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
I biada chmurze co chce być przeszkodą!
Popruta, zbita, rozpłynie się wodą.
A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
Szwaczka przemówić nanowo się musił,
Lecz znowu słowa zaplątał w języku;
Tylko poważnym śmiechem się zakrztusił.
Tu oczy zwolna w powiekach zagasły,
Na obie strony powoli się skłania;
Aż razem tułow przewalił opasły:
Że jeszcze żyje znać z jego chrapania.
Długo Nebaba, po cielsku szerokiem,
Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisał;
Długo szum boru myśl jego kołysał;
Nim, w walce uczuć, ozwał się wyrokiem:
„Trzech diabłów synu, przebrzydły opilcze!
„I tobież dzielną przewodzić młodzieżą?
„Chyba mię sami szatani ubieżą,

„Że cię tu zęby nieskosztują wilcze,
„I w bramy zamku twe pięści uderzą!"
A jakby żądło piekła go ubodło,
Porwał się nagle i skoczył na siodło.

8.

Nie drzymie szyldwach, płomienie ocuca:
A wiatr jesienny gałęzie mu zrzuca, —
I znów, jak usnął, śród drzewa umilka;
Gdzieś tam daleko spiewa kur przed świtem,
Dalej i głuszej słychać wycie wilka;
Bliżej Roś pluska kręconem korytem, —
Niby sen cichy tej strony kołysze.
Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
Jak dziki wicher ocucony w borze,
Takim zakipiał cały obóz gwarem;
Jako gdy wicher zaiskrzy pożarem,
Tak zaiskrzyły wkrąg piki i noże;
Kiedy, na nagłe pogwizdnienie trwogi,
Spłoszony obóz porwał się na nogi.
Jeszcze gwizdnienie: w oka mgnieniu po niem,
Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały,
I, ciasnem kołem, stanął obóz cały
Gdzie widmo jezdca mgli się karym koniem.

9.

„Co to, Nebabo?" Zaraz go poznali:
Bo któżby z koniem wydał się wspanialéj!
„Co to za trwoga?" z obawą spytali.
— „Chcę was pożegnać, bo już ruszam daléj.
„Niech-że to dla was niebędzie niemiłem,
„Że trwogi niéma, a ja ją wzbudziłem.
„Lecz, jeźli macie i serce i głowę,
„To niebędziecie na mą głusi mowę."
Tu go młodź w węższe otoczyła koło;
Bo się patrzała, i słuchała rada:
Jak, męstwem, dumne rozpromienia czoło;
Jak, w szczerej mowie, śmiałem sercem gada.
„Niemyślę długo przed wami ja prawić,
„Co mię przymusza was, bracia, zostawić."
Zaczął Nebaba. Wyrosły śród czerni,
Zna jej umysły i wzruszać je umie;
I tak przystało mówić jego dumie:
„Atamanowi swemu bądźcie wierni;
„Przy nim, tak dobrze można tutaj drzymać!
„A ja niemogę dłużej z wami trzymać,
„I ziewać z wami: ja jeszcze skłuć mogę
„Choć kilku Lachów, choć dwór jeden złupić:
„Wtedy mi będzie przyjemniej się upić!
„To was i żegnam, i ruszam w swą drogę."

Ostra przymówka dopięła zamiaru.
Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru
Pierwszego lodu gdy go łamią fale,
Obiegać począł zawstydzoną zgrajęę.
Nebaba ciągnąć mowy nieprzestaje:
„Odstąpić Szwaczki ja nieradzę wcale.
„Gdy tak wygodnie przy tym atamanie,
„Któż ze mną pójdzie, a z nim niezostanie?
„Sam więc pospieszę, gdzie mię niosą oczy,
„Żwawszych do dzieła znaleść towarzyszy;
„Jednak co powiem niech z was każdy słyszy,
„I, gdy mu zda się, niech na przód wyskoczy.
„Komu rózgami ojciec zasieczony,
„Czyja się panu podobała żona,
„Komu najmilsza córka pogwałcona,
„Kogo zbawiono lubej narzeczonej;
„Na ojca boleść, na smutek matczyny,
„Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny, —
„Tego zaklinam, wołam po imieniu,
„Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!"
I tłum orężny mieszać się poczyna,
Jak zakłucona dmuchem wiatru trzcina.
„Kto w pańskiém za to umierał więzieniu
„Że jak pies podły o głodzie i zimnie
„Dla usług jego przemarnował lata;
„Kogo najdroższa boli przezto strata,
„Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
„I tylko sobie odtąd żyć swobodnie,

„Zaklinam tego, na zemstę, swobodę,
„Niech idzie zaraz gdzie ja go powiodę!"
Tłum wre niełądem, gwar niełądu rośnie:
Postrzegł Nebaba, jak, wybór ochoczy,
W gęstszych szeregach, dokoła się tłoczy;
A więc, z triumfem, zawołał donośnie:
„Teraz, kto tylko mołojca ma duszę,
„Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
„Kto chce opłukać pikę w polskiej jusze,
„Kto chce zaspiewać przy pańskim puharze, —
„Idźcie do zamku! ja drogę pokażę!"
A oko jego, jakby bitwy hasło,
Nagle, w każdego zabłyszczało oku:
„Wszyscy my, wszyscy, do Nebaby boku!"
Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzasło.
Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
Gdy go wilczyca zwietrzywszy, w puszcz głębi,
Przeciągle wyciem ozwie się ponurem,
A za nią głodni, zalotnicy, chórem.
I razem głębie zastękały ziemi
Pod rumakami ciężko tętniącemi:
I długo, długo wrzało nieprzerwanie,
A coraz ciszej, i koni chrapanie,
I chrzęst oręża, i stękanie ziemi;
A ognie straży konały za nimi;
A echa puszczy wołały za nimi,
Kiedy huknęli piosenkę pochodu
Nowemu wódcy co harcował z przodu.

10.

Pośród puszcz gęstwy, pośród jarów cieśni,
Mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie.
Jak czuł koń jego że na wszystkich przedzie!
Jak, w piersiach jezdca, rozigrane serce
Dzikiej wojennej wtórowało pieśni!
Kiedy, myślami w przyszłość uniesiony,
Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
Co błyska za nim, skoro lustro stali
Od miesięcznego oka się zapali;
Kiedy zwycięskie odgadywał tony
W dzikich odgłosach wojennego pienia!
„Stójcie!" Od wschodu dzień się zapłomienia.
Księżyc rumiany, niby się krwią zbroczył,
W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
I, jak złej wieszczby wyszła drżąca zorza.
„Stójcie! słów kilka." Tu, zemsty drużyna,
Wkrąg, atamana zawinęła kołem,
Gdzie się okrągli bezdrzewna równina,
Śród ramion boru i przed boru czołem.
„Baczność! Coś, wichrem, zaszumiało w lesie.
„Jeden-to z naszych gęstwa się przerzyna."
Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
Między drzew szumem słyszał otrąbianie.

Czyżby Polacy tak blisko być mieli?
»Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
»Naszem to będzie co mamy przed nami!
»Pod samem miastem, ten bajrak,* czy wiécie,
»Co się rozrasta pomiędzy jarami?...
»Tam do godziny zmierzchu doleżycie.
»Ja poźniej będę, skoro do wieczerzy
»Wezwie nas gwiazda co w zamku na wieży!
»No! w imię trójcy! ruszaj gdzie kto może!"
Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
Jak spiących nagle przerwane widzenie, —
Tak razem zgaśli zwinni jezdcy w borze:
Tu się w promieni tysiąc rozskoczyli,
Tu, między pniami, jeszcze majaczyli,
A tu i śladu po żadnym już niéma;
Niby zaklętych pochłonęły drzewa
Przed śmiertelnego słabemi oczyma:
Pusto, — sam tylko duch boru powiewa.
A za nim nagie klaskają konary:
Pod niemi rumak majaczeje kary;
A na nim jezdziec pręży pilne ucho:
Z tej strony trąbka zdaje się grać głucho;
Lecz głuchszy jeszcze słychać dźwięk z tej strony,
Ranne go wiatry krętym jarem** wloką.
Jezdziec posłuchał, pomyślał głęboko:

---

*Bajrak: lasek zarosły śród wąwozów. *P. W.*
**Jar: wąwóz. *P. W.*

Jak mu niepoznać! To kaniowskie dzwony
Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
Razem się pomknął w sklepienia milczące;
Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły;
Jeszcze, przez chwilę, echa w czczości biły:
Lecz go już teraz nieznajdzie i słońce.

11.

Ponuro echa okoliczne trąca
Zamkowa trąba, wieczór witająca,
Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
Wielkiem kościoła natury sklepieniem,
Już, już, gdzieniegdzie, lampy wieków płoną.
Odkryto głowy, bronie opuszczono,
Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
„Amen!" I „amen" powtórzono z skruchą.
Echa zamkowe ozwały się głucho:
„Amen." Ich „amen" tak smutny, niemiły,
Jakby go po raz ostatni odbiły.
Zagrzmiał ryk działa, i skonał śród boru.
Na wieży, ogień zajął się strażniczy.
Milczący szyldwach ciche kroki liczy.
Po oknach, błysły światełka wieczoru.
Mile zamkowa służebna drużyna
Wieczór, niestety, ostatni! zaczyna.

Jak błysk jej światła, ciche jej wesele
Kiedy zasiędzie każda przy swem dziele.
O, co za rozkosz obejrzyć te grona,
Gdy, za prababek, bawiły się pracą:
Tu, gazy blaskiem złota się bogacą,
Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
Tam, czarodziejka, u krosien schylona,
Tchu nieda słyszyć, niezwróci spojrzenia, —
I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
Cudowną władzą, kwiat wiosny rozplenia.
W tej białych rękach, drót jasny i gładki,
Wydaje, w mgnieniu, różnowzore siatki, —
Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,
Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
Tutaj wrzeciono, ze lnami miękkiemi,
Brzmieje nieznacznie, i gwiżdże po ziemi.
A pienie, w prostej, melodyjnej nucie,
Lube jak pierwsze miłości uczucie,
Ciche jak łono co niezna kochania,
Tęskne jak pamięć rodzinnej zagrody,
Pełne z tem miejscem, z tą godziną, zgody,
Sferą harmonii urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęskniła pani?
Że między niemi, a niekwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladość.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
Cerę co zgasła, wargę co pobladła,
Z milczącą skargą, mgła serca osiadła.
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrénie?
Jak, utajona tląc w serca głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą, —
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje;
Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
To łez niepuszcza, to więzi westchnienia.
Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo niezmienia;
Niegasi jagod, niemrozi spojrzenia,
Żałobą duszy czoła nieubiera,
Ciężkiem westchnieniem piersi niezapiera;
Ach! pierwsza rozkosz, w lubego objęciu,

Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego.
Lecz kiedy słabą, żądze gwałtu zbiegą, —
I co drugiemu sobie wypieszczono,
W zmierzłej lubości, obca rozkosz skradnie;
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
I, śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
Może, uważną pracą zaprzątnięta,
Zapomni smutku: usiadła za krośna;
Może miłośna, może pieśń żałośna,
Posepną dumą utuli natręta, —
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
Dobre dziewczęta rozpoczęły spiéwy.
Już na źrenicy łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy, i stanęła; —
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru niewstrzyma:
Powstała z miejsca; lecz tak martwa cała,
I znów stanęła z takiemi oczyma
Jakby się, w izbie, obłędu lękała.
Wlecze, mdlejąca, zwolna, krok rozchwiany,
I obcym rzutem ciska się do ściany.
U okna przecie. Nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli, widać w poruszeniach siłę,

Promyk nadziei w spojrzenia światełku,
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku.

13.

Już, po Kaniowie, straszna wieść latała:
Jak się wzburzyła Ukraina cała;
Jak, zdradą Gonty, dobyto Humania, —
Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło,
A nigdzie schrony przed czernią zaciekłą.
Skoro, wieczorem, powstały tumany
Od nasępionej strony Zaporoża,
I, mglistą bielą osłoniona, zorza,
Z rózgą komety, jak lampa złej doli,
Gasnąć w obłokach zaczęła powoli;
Zdwoił się, w mieście, przestrach niesłychany:
Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęczyć okropniej wichry Ukrainy,
I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak, po cmentarzu, nieme duchów tłumy,
Snują się milczkiem, po ulicach miasta,
Tłumy mieszkańców trwogą omroczone;
A wieszczba klęski w którą pojrzysz stronę!
Tam dziecię pyta: skąd ten tuman wzrasta,

I w takie kształty miesza się olbrzymie
Jak Łucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
Dwoch się przyjacioł zbiegła oto ręka, —
I zimno śmierci ich uściski ziębi;
Dwojga kochanków spotkało się oko, —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
A topielicy skrwawione widziadło,
W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągle Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki:
Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
Nieprzetoczone unosząc ostatki;
Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony,
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego:
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża spiewali pokutnemi tony.
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony.
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały.
Nieocenione słano zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!

Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzody niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy, przed arką bożnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
Jakby od gniewu bożego olsnęli.
I, w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy
Niżli go słyszał świata wiek daleki,
Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
I łzy Dawida z ich się ocz polały.
Szczere-to płacze, bo i strach niemały!...

15.

Długo, zbyt długo, myślom zostawiona,
Stała u okna młoda rządcy żona.
Czy nie zły wicher szeptał ci, Orliko?
Masz w oczach radość, ale radość dziką.
Ciężkieś westchnienie na łono stoczyła:
Jakby w obawie aby skrytość cała,
Którąś w milczeniu tak długiem warzyła,
Wcześnie przestraszyć świata nie zechciała.
„Ho-ha!" Bicz klasnął, brzęknęły łańcuchy,
Opadły mosty, bruk zagrzmiał, bicz klaska,
Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głuchy:
„Ho-ha!" bicz klasnął, stanęła kolaska.
Raduj się, zamku! rządca wesoł wrócił;
Widać że drogę prędką jazdą krócił,
Bo z wszystkich koni tak się opar dymi.
Ale z wieściami powrócił dobrémi.
Skoro pomówił z kaniowskim starostą,
Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
Pan wojewoda[2] z Gontą kończy dzieło;
Wkoło, szubienic stawia tysiącami:
Opatrzne oko zeszło już nad nami,
By kres bezbożnej swawoli wytknęło!

Jemu więc, do snu, ufnie zdajcie życie,
I w łoża wasze wstępujcie spokojnie:
Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
Zasniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!
Otoż i nowy goniec, pędem, zmierza.
Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału
Co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża:
Bez hasła bitwy, bez jednego strzału,
Znikł on z obozem, — jakby wpadł do ziemi;
I tak bez śladu, że nasi, zdumiali,
Już niewiedzieli gdzie go szukać daléj.
Aż go odkryto między lasy temi.
I wkrótce przyjdzie do rozprawy z nimi.
Lecz męstwu naszych można ufać śmiele,
Że to spotkanie kres położy wojnie.
Więc dzwony, działa niech głoszą wesele!
A zamek z miastem zasypia spokojnie.

16.

Już, w głuchej nocy opóźnioną porę,
Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;
Tak, po miesiącu, okna różnowzore
Błyszczą w kaplicy pośrodku cmentarza.
Łoże małżeńskie, zapłonione blado
Światłem co mdlało, buchało, znow mdlało,
Tak się, w półcieniach, dziko wydawało,
Jakby to łoże gdzie umarłych kładą.

Po dniowym trudzie małżonek spi mocno:
Zmrużonem okiem poco żona czuje?
Czy, jak duch dobry, jego snu pilnuje?
Zegar wybija dwunastą północną.
— „Czego-to, gdzie-to dzwony uderzyły?"
Porwał się nagle rządca przebudzony.
— „Zdało się tobie; to zegaru dzwony."
I oczy rządcy znow się snem zakryły.
Ale, poczwara, przeczucie złowrogie
Pod snu zasłony złośliwie się wkrada,
I, z bezzasadnych cierpień duszy rada,
Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.
— „Czego-to trąby tak nagle zagrały?"
— „Ach, pan Bóg z tobą! świat, jak umarł, cały.
„To zabrzęczała mucha obudzona."
I znow, od zmysłów popłoszone zgiełku,
Cichnące czucia wróciły do łona; —
Tak zgraja piskląt, od kani spłoszona,
Tuli się ufnie w matczynem skrzydełku.
Usnął. Rządczyni wciąż mruga powieka:
Jak góra westchnień ciężkie dla niej łono;
I serce rwie się, jakby je męczono;
I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
Coż-to tak przykro podrażnia jej oczy?
Czegoż pot mdłości z jej się lica toczy?
Jakaż na pierś jej mogiła się tłoczy?
Czy-to nie szatan igra z nią w bezesnie,
By owoc, którym pierś przeklętą płodni,

Wykołysany jej myślami wcześnie,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?
Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica,
Razem, w powiece, pełno się rozświéca.
Podniosła głowę;.. wyżej, jeszcze wyżej.
Zyzem nasamprzód przeszyła spiącego:
Potém swe oczy do ocz męża zbliży,
I długo, trwożnie, bada ruchów jego:
Ostrożną ręką, serca w piersi bada:
Na piersi jedna, skryta druga ręka.
Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
Znalazła serce, wstaje i uklęka.
Mignęła w ręku błyszczącem żelazem.
Mąż się obudził, i zawołał razem:
„O jakże sny mię strwożyły niemiło!
„Jakby się w zamku razem zapaliło
„Taką mniemałem widzić błyskawicę.
„A twoje czego tak błądzą źrenice?
„Ciebie zmieszało moje pomieszanie.
„Był-to sen tylko. Prawda, sen niemiły;
„Ale te myśli co mię w dzień kłuciły
„Wróciły na noc. Spij już, spij, kochanie."
A więc usnęli. Biada temu, biada!
Kto, nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
Przy swojem sercu, w swem łożu układa
Serce, zatrute śmiertelną obrazą.
Usnął; a w ręku małżonki żelazo.
Bóg-że wie kiedy i gdzie się obudzi!

17.

Pono nie we snie rządcy biły dzwony,
Nie we snie rządcy trąby grały głośno,
Nie we snie rządcy płonęły pożary:
Trudno jest poznać śród nocy zgęszczonéj,
Ale, nad miastem, jakieś dymy rosną,
I, zasłyszane, wrą tam jakieś gwary.
„Czyż zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
„Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
„Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
„W niemem jej łonie próżnych mar siedlisko.
„Com wziął za oręż, za tentnienie koni,
„Ani to konie, ani błysk oręży."
Szyldwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
Tak sobie myślał, i usnął na broni.
Lecz zawsze błyska, lecz zawsze coś dzwoni,
Niby blask stali, niby tentent koni:
I coś się wznosi podobne do huku, —
Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku.
Razem zagrzmiało, wrzasło, zabrzęczało:
Zginąłeś zamku! Piekło się zaśmiało!
Bramy rozbite, straż wycięta w chwili;
A hajdamacy w zamek się wtłoczyli.
I, w tejże chwili, srogość rzezi cała,
Z blaskiem pożaru, wkoło się rozlała.

Śród nocnej ciszy, wściekłych wrzasków wrzenie,
Tentent konnicy, brzęk broni, dział grzmienie,
Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
Krwawe maszkary widne z każdej strony,
Pożogi wiatrem rozdymanej blaski,
Czarny sklep nieba łunem zakrwawiony,
Dzwony kaniowskie jęczące donośnie, —
Wszystko to razem wszczęło się i rośnie:
A głos watażki * ryczy nieprzerwanie;
Wszakżeto niejest Nebaby wołanie.

18.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,
Biesiadę w zamku Szwaczce przeznaczyło.
Już wojsko zbiegłe tentniało daleko,
Gdy mu się oko we snie wytrzeźwiło
I zabłyszczało pod wązką powieką.
Jakże się ciężko, jak wściekle zadumiał,
Gdy się sam ujrzał na tę puszczę całą!
Dziełem to czarów zpoczątku rozumiał:
Żegnał się, żegnał; — nic niepomagało.
Teraz jak było poznał rzeczywiście:
I wnet pogonią chciał lecić za nimi;
Ale mu śladu nieda zwiędłe liście.

---

* Watażka: herszt. *P. W.*

Więc się drogami puścił pewniejszémi;
Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
Dla wrzącej czerni był-to gość zbyt miły.
Bez trudu, krwawe uiścił zamysły;
A wiódł rzecz swoję tak skrycie, tak śmiele,
Że skoro zorza północne zabłysły,
Już go ujrzano na powstańców czele:
I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
A tak, i na tych co go odstąpili,
I na Polakach, mści się w jednej chwili.

19.

„Hej, dzieci! dalej, na pańskie komnaty!"
Ryknęły, miedzią, atamańskie płuca.
A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,
Z piskiem wściekłości, z głowni skrzących szumem,
Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty.
A stare echo zawyło z przestrachu,
Kiedy po całym rozleli się gmachu,
Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
„A teraz, dzieci, na rządcy pokoje!
„On, widzę, zamknął przed nami drzwi swoje!"
Ale jak siłą, poparli drzwi, całą,
Runęły, z dźwiękiem przykrego gwizdnienia, —
Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.

Czemuż ten kozak co wprzód skoczył śmiało,
Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
Coż-to ma znaczyć ta w ciele diablica?
Ona niesłyszy, niewidzi nikogo:
Takie spokojne jej oko i lica.
Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu;
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula:
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby, i niby wypiera,
Potém martwego pościelą otula,
Wymawia scicha słowa ucinane,
Zbroczonem płótnem cała się wyciéra,
I, wolnym krokiem, idzie do zwierciadła:
Stanęła, z lampą w ręce konającą;
Spokojna, — tylko oczy się jej mącą.
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła
Gdy, w tej postaci, stała u zwierciadła.
I konające potępieńca oczy,
Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
Już oblężone katów piekła zgrają,
Piekielnych krain witane już cieniem, —
Nic groźniejszego widzić niezdołają
Przed ostatecznem na wieki zgaśnieniem.
Ta wpół kobieta, wpół grobów maszkara,
Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych, —
Jak gdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
Ten kozak za nią, co, jak zbrodni kara,

Choć piętnem mordu cechowany cały,
Przecież, niewolnie, staje osłupiały
Przed okropnością złoczyńców sumienia;
Ten blask pożaru: skrwawione tło cienia;
A ci mordercy, co, w głębokiej dali,
Pomiędzy nocą orężem błyskali:
Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

20.

„Dalejże dzieci! a wam co się stało?"
Był-to głos Szwaczki świeżo przybyłego,
Gdy pozierano po sobie nieśmiało.
A choć na chwilę stanął i głos jego,
Onby się zaśmiał do diabła samego.
„Ho, ho! niewiecie co to za diablica,
„Niewiecie tego, — a mój nóż odgadnie.
„Patrzcie, jak we krwi skąpał się już ładnie!
„A choć tak we krwi jeszcze się rozświéca!
„Stójże mi, widmo! nóż-to doświadczony,
„I poświęcony i dobrze ostrzony.
„Rzuć go na wicher co tańczy po drodze,
„A gdzie się kręcił świeżą krew zobaczysz!
„Jeżeli tylko dotrzymać mi raczycz,
„W Bogu nadzieja, dobrze cię ugodzę!"
Nóż błysnął, gwizdnął... Po niewieścim jęku,
Po smutnym lampy rozbryznionej dźwięku, —

Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli
Jeszcze krwawego widma niepojęli,
Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:
„Podajcie głownię co się otam dymi!
„Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki...
„Przyświecaj lepiej,... bliżej,... tu, do klamki...
„Znać otwierała,... wyszła temi drzwiami.
„Już to nie diabeł co uciekł przed nami!"
O zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi
Ścigają ciebie, przy iskrzącej główni.
Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają:
Tu, jego usta „łamać drzwi!" wyrzekły, —
I tu drzwi nowe z zawias wypadają.
Długo trwać będzie ta igraszka dzika:
Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka.
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza:
Tu już stracili, tu znow krew ją zdradza,
Skoro o ścianę oprze się jej ręka;
Tu drzwi łupnęły; tu zasuwa brzęka;
Tu, biegiem skorszym, zbudziła podłogę;
Tu prawie słychać jak serce jej bije:
Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
Niech tylko drzwi te wyprze ramię czyje; —
Już-to ostatni przytułek za niemi;
Chybaby szatan schował ją do ziemi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZAMEK KANIOWSKI.

CZĘŚĆ TRZECIA.

1.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?
Zjaw mi się znowu; znowu spiew ci wznoszę.
Za te nikczemne świeckie powaby
Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze:
I oto, z wstrętem przesytu,
Obojego tułacz bytu,
Niewiem gdzie się dziś obrócę,
Jak mojej pieśni donucę!...
Burze serca, burze losów
Ogłuszyły mię na chwilę!
Losy piorunowały tyle!
Obyłem się z grozą ich ciosów.
I serce tyle wichrzyło,
Tak kochało, tak mi biło,
Że już omdlało, — czczość, mgłę zostawiło.

W tej czczości, w tem omdleniu
Świat, tobie, memu marzeniu!
Jesteś więc ze mną! witam cię, o cieniu!
A z łomu gruzów, śród morderców gwaru,
Wznosi się szatan, falami pożaru,
I w równi trzyma, na wadze zniszczenia,
Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia; —
Dając mi porę, bym, w czasie cofnionym,
Puścił wzrok wieszczy za jezdcem zgubionym:
Otom go znalazł, i oto go wiodę
Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

2.

Niepomnych czasów, nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły,
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu co, z lasów zarośli,
Strzelał gałęzią widniej i wyniośléj
Niż wieża ławry,* złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna,
Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;

* Ławry peczerskiej, klasztoru przy pieczarach czyli grobach wielu świętych i błogosławionych, w Kijowie. *P. W.*

Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwały szczycie
Jak tej piastunki co chce uspić dziecię
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy, w nagich borach, mroźna iskrzy zima, —
Korona jego ciągle zielenieje:
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana,
I bohatyrską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.

3.

Nebaba, senny, pod nim odpoczywa:
Wpół-zwiędły trawnik jest kobiercem łóżka,
Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia, poduszka:
Przykry świst puszczy piosenkę mu spiéwa.
A, kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony trenzlami podzwania.
Po miejscu wspomnień, po męża postawie,
Możnaby myślić, że duch bohatyra
O którym marzy ukraińska lira
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.
Ale, spiącego zajrzac wspaniałości,
Snu atamana niech nikt niezazdrości.

Wejrzyj i na lice: w ich się ruchu kryśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzić ogień z wieży:
Dosiada konia, — zebrać swój szyk bieży;
Ale, na miejscu kozaków obozu,
Spotyka stado wilków śród wąwozu.
Wtem głos Orliki jakby gdzieś za górą...
Spieszy ku niemu: światło co błyszczało,..
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny; — wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...
Tu go przestrachu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz coż postrzega w przebudzenia chwili?

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku:
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A, że niewidzi, z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę, i tonów probował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny.
Więc, zgóry krzyknie, ku starcowi skoczy:
— »Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze?«
Zwolna, drwiąc nawet, odpowiedział ciemny:
— »Jak mowa groźna, taka twarz być może:

„Dziękuję Bogu że mi wydarł oczy.“
I znow spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią:
— „Nikt żartem niezbył mojego pytania!
„ cię tu przyniósł, niewyniesie!
„Starcze, kto jesteś? co robisz w tym lesie?“
I siłą starca pochwycił niedźwiedzia.
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:
— „Puść; strunę urwiesz, a niekupisz nowéj.
„Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie,
„Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie:
„To, zamiast gniewów i tego hałasu,
„Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu;
„Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę, —
„A na dobranoc usłyszysz piosenkę.“
— „Diabeł nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
Niezlękły groźbą jak z kamienia, siedzi.“
Pomyślał kozak; skrycie się uśmiéchnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
„Czemuż-to, ślepcze, niemasz przewodnika?“
Już łagodniejszym zapytał się głosem.
Dziad się uśmiéchnął; „hm!“ mruknął pod nosem:
— „U mnie, to kostur co u kogo pika.
„W słotę, w pogodę, czy to dniem czy nocą,
„Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
„A od Kaniowa aż do samej Smiły,
„Wszystkie, pod ręką, poznam ci mogiły;

»Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
»Każdą murawkę co nastąpię nogą.
»Ale, kiedym się odbił od kamratów,
»I tutaj blisko smacznie odpoczywał,
»Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów,
»I skradł kostura. Prawda, był okuty;
»Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
»Długi gniew grzechem. No będę ci spiewał
»Na zgodę; tylko daj mi dwie minuty
»Że sobie lirę do głosu nastroję.
»O! wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje."
Nebaba ani zezwala ni wzbrania;
Więc lirnik zaczął, po chwili brzękania.

5.

»Wypłyń, wypłyń z za obłoku!"
I nagle urwał, w samym pieśni toku.
»Trzeba bym wprzody rzecz powiedział całą
»Historia długa; siądź tu, rzuć ratyszcze:*
»Długa, lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
»Gdzie się to działo, i z kim się to działo,
»Trudno jest wiedzieć, — niekoniecznie wreście;
»Może i niechcesz. Dość, we wsi, czy w mieście,
»Była dziewczyna z niepełnym rozumem.

* Ratyszcze: spisa, włócznia. *P. W.*

„Dawno chodziły wieści między tłumem:
„Że, nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
„Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
„A noc, na niebie, błyśnie gwiazd gromadą,
„Jasny latawiec spływa ogniem do niéj.
„Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało
„Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
„Ale z szatanem niebespieczna sprawa.
„A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa:
„Brząknąć w bandurkę, przylgnąć do dziewczyny,
„Wywinąć tańca, coś spłatać, — jedyny.
„Jak się rozszalał z drugimi chłopaki,
„Przyrzekł że diabła na schadzce dostrzeże.
„I dostrzegł. Czegoż niedokaże taki?
„Każdy to przyznał, i ja temu wierzę.
„Bo obłąkana, drugiego wieczora,
„Zamiast miłego czekać u jeziora,
„Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
„Aż, niezabawem, i łono się wzdyma...
„I gdy już o tem pełne kumów uszy,
„Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy:
„Po żwawym chłopcu ni śladu, ni słychu.
„Różnie to różni gadali pocichu;
„Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
„Że ot w tem wszystkiem moc była czartowska!
„Diablich miłostek mieszać niewypada.
„Ksenia... Ten język zawsze się wygada!..

„Szalona, żyje. Ale, choć, jak wprzody,
„Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
„I na noc całą przed gwiazdami siada, —
„Nikt jej nieśledzi, nikt jej tam niebada:
„Bo, niechaj z nami zostanie duch święty,
„W ciało niebogi wsadził się bezpięty.
„Ale dojrzano kwitnące paprocie,
„To i jej pieśni słyszano w ciemnocie.
„Będę ci spiewał jakem nauczony."
I nucił, w liry uderzając strony.

*

„Wypłyń, wypłyń, z za obłoku:
„Po błękitnem przeleć niebie!
„Ja kochanka wzywam ciebie!
„W lasów ciszy, w nocy mroku,
„Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!

*

„Głucha ciemność wioskę kryje;
„Zgasł kaganek w oknie chatki;
„Sen zakleił oczy matki;
„Moje serce bije, bije,
„Do twojego serca bije!

*

„O północnej wyszłam porze;
„Na burzliwą niedbam porę:
„Skoro mi blask luby gore,
„Niechaj zgasną wszystkie zorze,
„Całą noc przesiedzę w borze!

*

„Kiedy promień twych warkoczy
„Spłynie na obłoki sinie,
„Ziemia złotym dniem opłynie;
„A mnie dusza, a mnie oczy,
„A mnie serce szczęściem spłynie!

*

„Ho-hop, ho-hop! ja kochanka,
„W lasów ciszy, w nocy mroku,
„Radam, do samego ranka,
„Wywoływać cię z obłoku.
„Ho-hop, spłyń do mego boku!

„W końcu najpiękniej; chcesz, to ci powtórzę:
„Ho-hop, ho-hop!...“
I musiał stanąć. Z ocz Nebaby błysku
Dawno już widać co tam w myśli chmurze
I gromowego jak blisko pocisku.
Zdaje się brakło ruszenia lub słowa.
Szczęśliwa dotąd, widać stara głowa.
Ale w tej chwili chwycił go za ramię
Że mu, jak szatan, musiał wypiec znamię:
— „Jak mi raz jeszcze to „ho-hop“ zawyjesz:..
„Słuchaj, przeklęty! czy już nadto żyjesz?“
Niemógł dokończyć, bo rżenie wronego
Wezwało nagłej obecności jego:
Skoczył od starca, błysnął w ręku piką,
I prędzej gęstwą przemykał się dziką.

6.

A koń, jak wryty, stanął niespokojny:
To wzrok zaiskrzy, i nozdrze rozszerzy,
To znowu zarży, kopytem uderzy, —
Jakby go tchnienie obwiewało wojny,
Nic tu niewidać, niesłychać nikogo;
Chyba się listek odezwie pod nogą.
„Lecz karosz jeszcze nietrwożył mię próżno:
„Nieostrożnego i Bóg nieuchował;
„Złe się przechodzi pod postacią różną...“
I do lirnika myśli swe skierował.
„Trzeba go zbadać, podobno to zdrada.
„Bo, choć się dziadem i ślepym powiada,
„Te drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
„Jeźli nie diabła, zdradzają oszusta.
„Ten głos donośny, sama broda biała,
„Ślepota nawet coś mi się niezdała.
„Patrz, jak usłuchał! a przeciem mu wzbronił!
„Jakby we dzwony, swoje „hop“ zadzwonił,
„Trza go nauczyć, choć to siwa głowa!
„Niech dla weselszych swoje żarty schowa!“

7.

Już kozak drogi do drzewa miał mało
Kiedy, w gęstwinie, jeszcze się zaśmiało.
Teraz, bespiecznie szukaj go z latarnią!
Dokoła pusto; wszystko się sciszyło:
Jakby lirnika ni liry niebyło,
I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
Stał Ukrainiec, i, w długim podziwie,
Po razy kilka nabożnie się żegnał:
Jeźli to szatan żeby go krzyż przegnał;
Jeźli szpieg, w starca przebrany kłamliwie,
Żeby mógł znowu dostać go do ręku!..
Lecz gdzie go śledzić, że tak wkoło głucho.
Uklękł; przyłożył do mogiły ucho:
Tentnienie konia słychać w ziemi stęku.
Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie:
Oko najlepiej z tego dębu powie.
Wstał; ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
Raz jeszcze, okiem, gęstwiny zapytał, —
I pod mszystemi zniknął gałęziami:
Tu pika błyszczy, kołpak czerwienieje;
A tu, po dębie, coraz bliżej wierzchu,
Gdzieniegdzie gałęź szeleśnie, czasami; —
Aż oto, razem, postać zajaśnieje
Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ogniach zmierzchu.

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
Nad różnolistnym gęstych puszcz obłokiem,
Darmo okrąża po polu szerokiem.
Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada:
Ani kurzawy, po drożynie, dziada.
Jak tylko zajrzyć, wokoło tumany,
Snują się jary, wstają w piątrach wzgórza;
Śród nich, gdzieniegdzie, lasek się zachmurza;
Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany;
Błyszczy, na prawo, Dniepr, dołem rozlany.
W błędnej z tysiącznych węzłów plątaninie,
Liczne się drogi na lewo rozbiegły:
To, skrętnym wężem, pełzną po wyżynie,
To się, jak wstęga, snują po równinie,
To w paszczach jaru giną niespodzianie, —
Aż razem znikną w dalekim tumanie.

Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
A oczy lepsze dostrzec nawet mogą:
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
A, dnia ostatkiem, zachód pozłocony,
Pocieniowany lotnemi obłoki,
Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony,
Z każdym jej cieniem, z wszystkiemi uroki!

9.

Kogoż ten widok, kogo niezachwyci?
Kiedy, nad otchłań pognębienia wzbici,
Krążymy po niej spojrzeniem wpół-bożem, —
A, bliżsi nieba, czuć wyraźniej możem,
Żeśmy na samem dwóch sfer pograniczu,
W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
Weselsza dusza żywiej tu promieni,
Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
Któremi Wieczny, w tle chaosu cieni,
Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał;
Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
Spiew co ją w łonie wieczności kołysał;
Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata;
Nadół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Nadół westchnienie co zawichrza duszą,
Łzy, sercu ciężkie, nadół tu ciec muszą; —
Jak nawałnice, i deszcze, i chmury,
Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co-to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęźmi oparty bez ruchu?
Czem' tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu

Smutne powieści o klęskach tej ziemi, —
Gdy, pod jej niebem, sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz, może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona;[1]
Nie jedno, może, ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.
Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem,
Puścił się kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej, nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinném,
Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło, —
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
Życie, — koń wrzący; świat, — kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole, —
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
Łzę utrapienia, łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiéj smutne wesołemi zmienia, —
Jak jego umysł swoje poruszenia.

Albo ten wieczór, ten ogień kupały! *[2]
Po zwierciadlanej Biełozyria wodzie,
Mkną się rybackie z kagankami łodzie:
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła:
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
We mgnieniu oka, ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła: czółna wokrąg płyną;
Już w oczeretach ** syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
A tanecznice, migającym cieniem,
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtem, zaczajona młodź nagle wypada;
Nebaba huknął: Zdrada, siostry, zdrada!
Już po bałwanie! Z wianków oberwany,
Złamany leży. Skończyły się tany,
Ucięto spiewy; a mściwe dziewczęta
Całusem karzą śmiałego natręta.
A też pustoty!.. Gdy wszyscy usnęli,
Widmo kobiety wysnuło się w bieli...
Dziką piosenką serce zaspiewało,
Blask obłąkania strzelił ze źrzenicy:

* Polskie sobótki. *P. W.*

** Oczeret: trzcina. *P. W.*

Kozak na chwilę zniżył skroń sciemniałą,
Jakby chciał przetrwać aż ucichną pieśni,
Aż mu natrętne widziadło się prześni.
Czyż taka pamięć pieszczot, miłośnicy?
Darmo! niescieraj z czoła mgłę natrętną,
Niestawiaj myśli na spojrzenia warcie;
Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświéca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica:
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka co go gdzie chce niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęschnice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila,
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak, noc wieczności, zorza zmartwychwstania.
Cóż-to za dziwna strona się odsłania? [3]

Tu, pod nogami, na równi poziomej:
Moszen, spojrzeniem policzone, domy;
Irdyń drzymiący w spleśniałej głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa, i sady, i gaje, w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej, piaszczyste pozłocone morze;
Dalej, bór spływa po spiczastym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej, i dalej, i bliżéj,
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary, i góry, i łąki, i piaski.
A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż swobody, uniesień rozwinie
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie, w tumany sinie,

Wiecznie drzymiące, fala Dniepru płynie?
Orzeł niech powie co pod niebem krąży;
On wyżej buja, i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
O Zaporożu niechaj on opowié:
Jak tam rozlegle panują koszowi;
Jakie tam, wiecznie, hulanki i wola;
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.*
A tabun pędzi ze rżeniem na pola;
A Zaporożec, na swobodnym koniu
Jak jego myśli, ugania po błoniu:
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam, po Dnieprze łódka się przemyka:
Lekka, i chybka, i szybka jak fala,
Leci za nurtem, po szklannej równinie:
Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
Zapadła w głębię,... przepadła;.. aż zdala
Pęka wód kryształ, — łodź jak łabędź płynie.
»Przeszło co było! i co będzie minie!«
Ockniony z myśli, ataman zawoła;
»A co być musi niechaj się już staje!

---

* Tak nazywają poziome chaty kozackie, i strażnicze szałasy, z których dym, niemając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu. *P. W.*

»Kozacy tęsknią, i ogień goreje!«
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła;
Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
Już pod bajrakiem, i już hasło daje.

12.

Poznała hasło kozacza drużyna,
W gęstwie bajraku dotychczas drzymiąca.
Lekkie gwizdnienie biegać wkrąg poczyna,
I ciszę zmroku powoli zamąca, —
Ale nie głośniej jak szum między drzewy
Gdy wstaje chmura nawalnej ulewy.
Prędko, spokojnie wszystko się odbywa;
Bo i pochodu młodzież niecierpliwa,
I atamana rozkaz wykonywa.
Nieśmie złowiony koń zadzwonić w pęta;
Nieśmie stal brząknąć do boku przypięta;
Natrętna innym, gałązka przydrożna
Kozaczej czapki niedotknie, ostrożna.
A z jaką ciszą do zbroi się brali,
Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
Czekał ataman, kołpakiem omglony;
Pod atamanem kopał ziemię wrony.
Dał znak, mołodcy obwiedli go kołem,
Podniósł kołpaka, powiódł śmiałem czołem:
»Panowie bracia, czas nam ruszać dalej!
Droga daleka, gwiazda się już pali,

„A zamek czeka z łóżkiem i wieczerzą!
„Więc, zBogiem, na przód! niech koń w pęcie dłużéj,
„A noże we rdzy, niech dłużej nieleżą.
„Szlak wiemy dobrze choć się niebo chmurzy.

12.

A niechcąc dłużej rozwlekać się słowy,
Pokazał ręką na ogień zamkowy;
Świstnął, i wprzód się wysunął, aż iniło.
A wojsku chęci we dwoje przybyło.

13.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
I widać jeszcze przez mroku zasłonę,
Gdy spiew się ozwał w między-leśnej dali.
Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
Pieśni znajome, ich słowy złożone.
Patrzą ciekawi co się dalej stanie,
Patrzą do lasu: ucichło spiewanie,
Aż i dwoch jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem,
Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
Ile, w ciemnosci, dopatrzyć się można,
Kozaczą burką opięci się zdają,

I długie piki, zda się, w ręku mają.
Ale we wszystkiem trzeba iść zostrożna:
Na znak Nebaby, czterych wyskoczyło,
Rozpoznać zbliska coby-to tam było.

14.

Już powrócili; dobrze się sprawiono:
»To niedobitki, ojcze atamanie!
»Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie;
»Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono:
»A tym dwom, jakoś, to trzciny Irdynia,
»To okoliczna pomogła pustynia,
»Że się wymknęli, upatrzywszy porę;
»Ale ich serce i dziś na bój gore.
»I, gdyby można, toby jeszcze radzi
»Tu pohulali. A więc, z dobrej chęci,
»Proszą by u nas mogli być przyjęci.
»Nam się też zdaje że to niezawadzi.
»Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi.«
Coś pomyślawszy, zezwolił wódz na to:
Bo dwoch, nareszcie, ni zyskiem ni strata.
Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

15.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
Z ciemniejszem niebem zasępia się ziemia;
Toczą się, szlakiem, obłędu bałwany.
Chropawym torem, w ślepiącej ciemnocie,
Orężny orszak bacznie się posuwa;
Daleki ogień co na przodzie czuwa
Dodaje bodźca wojennej ochocie.
To na zamkowej wieży się paliło;
Kochankom wojny tak go widzić miło
Jakby się w oko dziewczyny patrzyli
Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
I dalej hufcem sciśnionym stąpali,
Ciągle milczenie zachowując dzikie,
Nadzieję mordu mając za muzykę,
Za wtór stęk ziemi i brzękanie stali.
Coż się tam dzieje z myślami Nebaby
Teraz gdy zemsty dostępuje szczytu?
Musi mu jaśnieć wszystkiemi powaby;
Teraz-to musi w rozkoszy zachwytu...
Ej, ile można miarkować po czole,
Po dosłyszanem zazgrzytaniu szczęki, —
Znośniejsze serca zdradzonego bole,
Gdyby się pojął, niż te zemsty wdzięki!

Czegożby marzył po triumfach noża
O błędnem życiu w stepach Zaporoża?
I czegoż w myśli tak brnąć, że, pomału,
Jakby w sen zapadł, jakby w snie się rzucił
Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.
„Kto tam wystrzelił?" wnet groźnie zawoła.
Pilnie patrzano po sobie do koła; —
To aż w ostatnich szeregach oddziału.
— „Droga tak ciemna, koń się spotknął w chodzie,
„Przeklęty kurek źle trzyma na zwodzie,
„Aby go dotknąć to zaraz i pryśnie."
— „Niechaj-no każdy pistoletu strzeże!
„Bo, czy umyślnie, czy to nie umyśnie,
„Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!
„Nieprzetrze oczu jak plunę któremu!
„Hej, kto wie drogę niech jedzie przed nami!
„Wy, z bystrem okiem, biegnijcie stronami;
„A tył oddziału wręczam pod straż temu.
„Wróg, — bodaj mara; a wystrzał przestroga!"
— „Pozwól się prosić, ojcze atamauie,"
Podchwycił kozak co w tej chwili stanie:
„Każda mi znana pod Kaniowem droga:
„Nie jedne wiozłem tu listy, a wprzody
„Nie raz tu nie dwa wypasałem trzody.
„Wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę.
„Na krzyż przysięgam że o krok niezmylę."
— „Zanadto mowy; lecz kiedyś ochoczy,
„Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniowi;

„To nam gospoda.“ Tak Nebaba powié.
A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy:
Westchnie, — przez piersi święty krzyż położy;
A za nim reszta; — i dalej, w czas boży!

16.

Ciemnemi szlaki wywijając kręto,
Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.
A już i jasność miesięczna, choć słaba,
Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
I widzić w cieniach wyraźniej zaczęto.
Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
Woda gdzieniegdzie drzymie śród bagniska,
Chwilkę jaśniejszem zwierciadłem zabłyska,
Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
I, w śrebrnych iskrach, na jej marszczki padnie.
— „Patrzcie-no! co-to tem wzgórzem ciemnieje?“
— „To, powyż jaru, podnoszą się lasy.“
— „Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
„Może;... słyszycie ten szum przytłumiony?“
— „To aż za Dnieprem biesiadują knieje.“
— „Nie, bracia; kłamstwo! to coś jak hałasy.“
Ale gdzież kozak co, przed atamanem,
Po błędnej drodze jego hufiec wodził?
Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
Czy, jak widziadło, rozwiał się tumanem?..
Byłże-to Polak przykryty kołpakiem,
By nieostrożnych naprowadzić w siatki?

Badał: i lubo, śród przykrej zagadki,
Dreszcz co oziębia przebiegał po ciele,
Żadnym niezdradził podejrzenia znakiem;
Tylko zawołał na swoich, i śmiele
Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
Podwójny wystrzał błysnął, zagrzmiał w tyle,
I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
„Stój, atamanie!" Leci jeden z czaty.
„Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął:
„Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął;
„Takim go smacznym przywitał nabojem
„Czart zaczajony w kudły naszej burki;
„A teraz z wojskiem połączył się swojem,
„Co już nam odwód przecięło na wzgórki.
„Słyszysz, czy widzisz co się to zaczyna?"
Zaledwie skończył złej wieści posłaniec,
Kozacy na dół runęli nawałą,
Aż zastękała w dnie jaru głębina;
A z góry, chmurą gromami nabrzmiałą,
Zwolna bagnetów następował szaniec.
Wpół-chmurny księżyc pozierał nieśmiało;
Rzęsne się błyski sypały z oręża;
A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
W nieprzełamanym i niemym szeregu,
Sunął po jarów gorującym brzegu.
Tylko szeleści sztandar rozwiniony,
Jak gdyby szeptał już naprzód pacierze
Po duszach które śmierć za chwilę zbierze,
A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony.

17.

Jak ta, na wstręcie zaburzonej fali
Co przez dnieprowe porohy się wali,
Skała, śród szumu, stoi niezachwiana, —
Tak się wydaje postać atamana,
Kiedy, zepchnięte nieprzyjacioł siłą,
Wojsko się jego dokoła stłoczyło:
„Stójcie!" zakrzyczał; „podstęp nie wygrana
„Prawda że wrogi stoją nam natyle,
„A dla nas przykre co nie w zamku chwile;
„Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
„I ani możem wątpić o zwycięstwie!
„Znać nieufają ni w sile ni w męstwie,
„Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.
„Niechaj-że ztyłu gotują nam tamy,
„A my, na górę, przed siebie ruszamy.
„Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja.
„Dalej, na góry! gdzie przeprawa czyja!"
Już się wypuścił: aż tu, jednym razem,
Burzą wojenną powietrze zawrzało;
Ryknięto w traby, brząknięto żelazem, —
Blade się łuno po nocy rozlało,
I gradem śmierci wokrąg zaświstało.
Spojrzał Nebaba, i wstrzymał się w biegu, —
Tak go gwałtowne objęło zdziwienie;

Polacy stoją na oboim brzegu,
I ślą ku niemu ogień bez przestanku;
A on się widzi w płomienistym wianku.
„Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie!"
Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
Patrzą po sobie kozacy zdumieli.
Lecz wódz niedaje do myślenia chwili,
Więc ich, przykładem i mową, posili:
„Nic to, nic, bracia! damy ład wszystkiemu,
„Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno.
„W sercach im zatknąć broń której tak pragną,
„Nic to, nic, bracia; huknijcie po swemu!"

18.

Czy duch co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
Śród nocy, piekła podniósł im pochodnię,
I do ich serca zagrał swą muzyką, —
Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
A, na świat ciemny, na sklep nieba cały,
Tak niezwyczajne błyski się rozlały?
Grobowa cichość nastała po wrzawie:
I oba wojska, w posągów postawie,
Z bezwładną ręką, opuściwszy bronie,
Oczy ku jednej obrócili stronie, —
Jakby na karku nikogo niemieli:
I wkrótce dziwniej niż wprzody huknęli.

19.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
Była-to właśnie okropna godzina,
Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
A pożar zaczął trawić jego szczyty.
Z jaką radością przyjmie konający,
Cudem odkrytą, zbawienia nadzieję,
Z taką, Nebaby wojsko wieść przyjęło
Że ich pożarem zamek już goreje.
„Ot i przypadek sprzyja nam niechcący!
„Teraz się szczerze wezmijcie za dzieło.
„Niebo, mołodcy, niebo nam pomaga!
„Jeszcze godzina i stała odwaga,
„A, na złość liczbie, wyjdziemy zwycięsko!
„Patrzcie, jak jedną strwożeni już klęską!
„Hej, dwoch najżwawszych na lepszych rumakach!
„Skoro staniemy na tym góry grzbiecie,
„Pokłon do zamku od nas poniesiecie,
„Niechaj tam pomną o braciach kozakach.
„A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
„Dalej, mołodcy, dalej za Nebabą!"
I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
I znikli w walki zakręceni wirze.

20.

Jak gdyby oko zagniewane boże
Całkiem w płynący ogień się stopiło,
Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą,
Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
Buchał, jak z paszczy, kłębami brudnemi;
W skrytych podkopach zapalone prochy,
Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi.
Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,
Jak obalone piekielne olbrzymy;
Jak przeklętego Lucyfera skronie,
Pałały dachy w ognistej koronie.
A, echo piekieł, umarłych jęczenia,
A głazy siłą ciskane płomienia, —
Tańcem i pieśnią tej uczty zniszczenia.
Wiadomość zrazu głucho się roznosi,
Coraz głośniejszym rozlega się gwarem:
Nebaba walczy nad pobliskim jarem,
I, przez posłańców, o posiłek prosi.
— »Kto wasz wódz?« — »Szwaczka.« — »Gdzie jest?« — »Na zabawce,
»Przywodzi godne swej woli oprawce.«
Tam, tam, gdzie słychać, pośród murów rumu,
Razem przekleństwa, i śmiechu hałasy,

Szwaczka, na czele rozjadłego tłumu,
Z uporem w rdzawe szturmuje zawiasy.
Jedna tam słaba kobieta się tai.
Już najmocniejsi jacy są w tej zgrai
Poprobowali swoich barków siły,
I, z wściekłym wstydem, wracali od pracy.
Aż Szwaczka krzyknął: „Oto mi kozacy!
„Awas-by, gnuśnych, baby wydusiły!
„Jeszczeż-no plecy naprężą się stare;
„Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maszkarę.
„Ale, panowie mołodcy, za karę,
„Nikt jej przedemną dotknąć się nieważy!"
Wtem, kark barczysty z pod burki odsłoni:
Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni:
Przejście swobodne: już wpadną! już po niej!
— „Giniecie, bracia! ratuj się kto umie!"
Okrzyk przestrachu rozlega się w tłumie;
I wnętrze zamku zawyło przestrachem.
Prysnęły głownie, płomienie buchnęły,
Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem, —
I dach przetlały runął między ściany.
Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły;
Prysnęły głownie, dymy wybuchnęły;
Wirem się wzniosły ogniste bałwany;
Chwila, — i wszystko milczy pod pożogą:
Przetlona głownia cicho dogorywa,
Cicho dym wstaje, płomień się dobywa, —
Jakby tam nigdy niebyło nikogo!

21.

A w garle jaru jak wrzały tak wrzały
Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały,
I zgiełku męży wyjąca muzyka.
Nie jeden jezdziec zwinął się bez głowy,
Nie jeden leżał pod ciężarem konia,
Nie jedna z ostrzem rozstała się pika,
Nie jeden w bryzgi poszedł miecz stalowy, —
Nim, przepełniwszy bagniste parowy,
Powódź się wojny rozlała na błonia.
I ktoż jest w sile, z żyjących na ziemi,
Ogarnąć, pięcią zmysłami słabemi,
Ten taniec mordu, jaki wyprawiły
Wszystkie uczucia, wszystkie człeka siły,
W jedno uczucie, w rozpacz przerodzone?
Dzięki połyskom, co z pożaru biją,
Że czasem nocy uchylą zasłonę!
Większe ciemnościom, że je znow zakryją!
Noc-to okropna, noc-to piekieł była;
Starzy, z powieści prawią o niej siła;
Gdyby nam dzisiaj taka się przysniła,
Miękkie sny nasze na długoby struła. —
Jedna jej tylko istota nieczuła:

22.

Gdzie wzgórek strzela nad szczyty czaharu,
Do omglonego podobna widziadła,
Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
Albo to dziecię śmierci i pożaru,
Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia:
Jaśnie w tem świadczą skrwawione łachmany,
Skroń rozraniona, i włos rozczochrany.
Aże ustawnie podnoszą westchnienia
Tę dłoń co mocno przyciska do łona,
Musi być biegiem gwałtownym zmęczona.
Pewnie, strwożonej, grozi losów cisza,
Lub swej niedoli śledzi towarzysza,
Bo tak ciekawie poziera dokoła.
„Ho-hop, Nebabo!" Opętanej słowa!
A w głębi lasu odhuknęła sowa;
I wilk, jej, wyciem, napowrót odwoła.
Że zrozumiana, jakby z tego rada,
Dziwacznie suknię i włosy układa.
I, wzrok utkwiwszy w bitwę co na przedzie,
Dziwny spiew, tonem dziwniejszym, zawiedzie.
Nie ludzkim uszom, spiew piekłu znajomy.
Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
Za echo, wojny ozwało się wycie.
Czekaj na gwiazdy kochanej przybycie!

To nie armaty ogniem śmierci błysły, —
To twój kochanek rozsiał swe promienie;
A to nie kule, śmiercią, obok świsły,
To było znane miłego gwizdnienie:
Oto i on sam, cały, z ognia płynie
W tej chmurze dymu co mroczy pustynie.

23.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem,
Buchnął jar, wreszcie, z rozdartej paszczęki;
Otchłań bezdenna nieskończonej męki,
Dusz potępionych syta złorzeczeniem,
Nie straszniej rzygnie przed świata zniszczeniem
Łuno pożaru, strzelby błyskawica,
Co ten ofiarny diabłom stos podnieca,
Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;
Ale, w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie,
Niemożna wiedzieć kto z Lachów kto z Rusi:
Tylko jednego poznać każdy musi.
Gdzie kilku razem w śmierci bolach jęczy,
Tam atamana żelazo połyska;
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
Cofa się w kręgu płynących obręczy, —
Tam atamana wrony koń się ciska.
Błyskami wojny cięcia swe zapala;
Gromami wojny wszystkie zbiega strony;

Zda się że z każdą kroplą krwi toczonej,
Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
Serce rozjusza i szablę nastala.
Ale dłoń jedna, i jedna odwaga
Nic niestanowi, albo mało znaczy,
Tam gdzie za mnóstwem przechyla się waga:
Cała tam korzyść, śmierć z chlubnej rozpaczy.
Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału,
Jeden za drugim ubywa pomału....
Choć, przy niewoli co u Lachów czeka,
Sama śmierć, widna, jest jeszcze powabną,
Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki;
I wnet radości błysnął promieniami:
„Krzepcie się, bracia!" woła; leci w szyki.
„Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
„Patrzcie, to nasi! jak, podobni chmurze
„Patrzcie przed pożar, suną się po górze."
Buchnęła walka, zagaśnienia bliska,
I serca znowu mordem zakipiały.

24.

Zadrżał ataman. Coż-to za zuchwały,
Natrętną szablą przed oczy mu błyska?
Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
Dwa razy koniem wokoło zatoczył,

Upatrzył porę, spuścił szablę razem,
I z atamana spotkał się żelazem.
Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni;
Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem:
Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
I gdzieś daleko świstnęła mu z dłoni.
Najlepsza tutaj porada przestrachu:
W pole przed siebie puścił się z kopyta.
„Zmykaj, niezmykaj, mój ty śmiały Lachu!
„I kary także o drogę niepyta.
„Jeszcze się żaden przed nim niewysunął!"
I wiatry wtyle zostawia koń wrony,
A błyskawice, pałasz wyniesiony.
Gdyby w biednego żołnierza tak runął...
I on nie taki trwożny, jak się zdało:
Na jednem miejscu zwinął koniem śmiało.
Może on niechce śmierci przyjąć w plecy:
Bo skąd-że tutaj nadzieja pomocy?
Od reszty swoich oba tak dalecy.
Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
Lotem spojrzenia, ataman dobiéga;
Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha;
Trząsnął grom skryty, — zajęczała płacha,*
I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
Lach dalej świstnął: a koń atamana

---

* Klinga, lama. *P. W.*

Aż ziemię zapruł kutemi kopyty:
Tak lejc go zerwał; i stanął jak wryty.
A twarz Nebaby jakby jedna rana;
Tak ją strzał opluł i szabla strzaskana.
A krew kroplista, płynąca zasłoną,
Zbroczyła czoło, opada na łono,
Leje się w usta, przepływa przez oczy,
Gasi spojrzenia, oddechy tamuje; —
Darmo trze oczy, darmo usty pluje, —
Rumiane źródło falami się toczy;
Darmo dłoń kala, darmo suknię broczy:
To krew niewinnych, nic jej niezhamuje!
Co przetrze oczy, co ustami splunie,
Krwawa zasłona znowu się zasunie:
Potępionego prawdziwa męczarnia!
A tu Polaków okrzyk się rozléwa:
»Nasza wygrana! posiłek przybywa!«
Teraz już całkiem wściekłość go ogarnia:
Opuścił ręce, schylił nadół skronie, —
Jakby śmierć sama, mrozem swych piszczeli,
Przygłaskiwała do wiecznej pościeli.

25.

— »To on; on-to sam!« w dobrze znanym tonie,
Cichy się głosek odezwał na stronie,
A wyraźniejszy gdy się zbliży trocha:
»Przyszedł popieścić... On mię zawsze kocha.«

— »Czy i ty!..» krzyknął; niemógł skończyć mowy,
Krew mu ustawnie zalewała usta;
Przerywanemi tylko jąkał słowy,
Gdzie się zdradzało zimnej krwi udanie
I niewstrzymanej złości obłąkanie:
»Diable!.. kocham cię!.. Ta krew... Kseniu!...
chusta...
»Zsadź mię,... przeklęta!.. Daj rękę,... o droga!..
»Gdzie serce!.. diable!.. gdzie serce, kochanie!»
I na bełkocie skończył mowę całą.
Jak ostrze noża przykro zaskrzypiało!...
I jęk śmiertelny wydała przebita.
Liczne wokoło zagrzmiały kopyta:
Otoczyli go polskie wojowniki.
Poddaj się, poddaj! nie pora do piki;
Już marsz zwycięski muzyka uderza.
Omdlały kozak, z uczuć zaburzenia,
Z przewlekłej walki, ze krwi upłynienia,
Upadł na ręce pierwszego żołnierza.

26.

Nastała cisza po hałasie wojny:
Spokojne pola, zamek już spokojny;
A niedotlałym ogniem oświecony
Prosi przechodniów z każdej świata strony.

Uprzejme kruki, gęstemi gromady
Krążąc wokoło, wabią do biesiady;
Pobojowiska radzi godownicy,
Wilcy, tłumami, ciągną z okolicy.
Zniszczenie nawet, co już w zupełności
Swe panowanie nad zamkiem rozszerza,
Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
Z takiem te gody sprawia uciszeniem,
Że można słyszyć przelot nietoperza;
Chyba że zechce przyświecić płomieniem,
To buchnie w żary przetlałym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
I łakomego brzydkiej śmierci garła;
A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
I w niej krew czarna kipi, jak we zdroju,
I choć posoką umalował skronie,
I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
Widać, po jego spokojnej postawie,
Że odpoczywa po wojennej wrzawie.
Albo też, jeszcze i dotąd męczony
Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
Zboczył, wędrując pomimo tej strony,
By się nacieszyć obmierzłych zagładą.

W tymże kołpaku, w odzieży tej saméj,
Sczerniałej troche pod krwawemi plamy,
Siedział na złomkach w pół-zgorzałej bramy,
I swoję pikę trzymał na sztych w ręce,
Jakby miał bliskie odeprzeć natarcie.
A wokrąg niego doborni młodzieńce:
Jedni, jak gdyby stanęli na warcie,
Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą;
Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
A drudzy, w kole garłem flasze mierzą;
Tylko że nigdy dopić ich niemogą!
Inni znow, bardziej snem zmorzeni, leżą;
Tylko że wiecznie tym snem leżyć muszą!
Musi on całą nasycać się duszą,
Że tak, bezwładny, wpatrzył się przed siebie:
Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
Tu każde miejsce tyle przypomina!
Gdzie, w stosach żaru, kurzy się perzyna,
Ten plac, bywało, uwieńczały spisy;
Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
Miejsce gdzie trup ten, mordem oszpecony,
Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
Gdy mu natrętne zazierają wrony, —
Miejsce to uciech nieraz było świadkiem:
Tu szkło dzwoniło, tu grzmiały okrzyki;
Za czyjeż zdrowie? Nebaby, Orliki!
Mściwego samo udręcza wspomnienie.

Aż z pod wnętrzności wydobył jęknienie:
Zemsty czy śmierci? w tem odgadnąć trudno.
Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszyć wtóru
Co może przypaść do jego czuć choru, —
Tu raz ostatni pieścił się z obłudną;
A dziś, o trupią skłuciwszy się głowę,
Dwa wilki wycia zawiodły grobowe.
Czegoż te ptaki, uderzając w skrzydło,
I gniewnie kracząc, grzebią śród popiołu?
Strawa zapewne warta ich mozołu:
Bo wygrzebali: człowiek czy straszydło?
Sczerniałe w ogniu, wpół-spieczone ciało:
Ale Nebabie rozpoznać się dało!
Nagle ku ziemi czoło mu opadło,
I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
„Ho-hop, Nebabo!" zawył głos ponury,
I, z pośród ognia, wypełza widziadło.
A choć niewrzeszczy szalonym chychotem;
Chociaż ją taniec niezakręca chyży,
Bo jej wnętrzności ciężą wpół-wysnute; —
I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
Pląsają iskry wichru kołowrotem,
Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
I samo trupów oblicze się zmienia.
„Wody! ach, wody!" popatrzyła Ksenia;
Głos jej znajomy, i kochanka oko
Na jej się wdzięki rozwarło szeroko:
Jakby wgłąb Kseni pragnęło utonąć,

Albo ją w piekło, i siebie pochłonąć.
Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz trwogą,
Oko Nebaby patrzy już mniej srogo:
Już łono z łonem, już z licami lica,
Już się i warga z wargą napotyka...
Pocałowała Nebabę diablica...
Teraz do reszty rozporze ją pika!
Nie; cicho siedzi: tylko mu dreszcz mały
Wyprężył członki, a źrenice zawsze,
Zawsze patrzały, patrzyć nieprzestały,
Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

28.

Na rozburzonem Kaniowa zamczysku,
Długo podróżnym broniący przystępu,
Długo ponęta drapieżnemu sępu,
Szkielet Nebaby lsnił w grobowym błysku;
Jak straż zaklęta w pomieszkaniu mary,
Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
Z mołodców jego śladu niezostawił;
Poznana tylko z rany i odzienia,
Szalona Ksenia leżała na trawie,
Jeszcze w modlącej przed lubym postawie;
A, w strasznej nocy zamku podpalenia,
I topielicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwidzał dnieprowe pobrzeże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady:
Jeszcze, po ścianach, krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytała się dłonią;
Żadna wywabić niemogła jej siła,
Na miejscu startej, inna wystąpiła;
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy,
Trafił na kołtun kseninych warkoczy,
Ale w nim drobny gniezdził się już ptaszek.
Obok, leżała z Nebaby ratyszcza,
Stal, od płomienia, w ciemny żużel zlana.
A, błądząc długo śród skośniałych czaszek,
Odgrzebał torban, między gruzem zgliszcza,
I jednę strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody kolcje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z pobliskiego lasku,
Co noc z nią dawne odspiewywał dzieje.

I jam polubił chrypliwe jej tony,
I, z jej dźwiękami z czasem oswojony,
Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
O całej zamku kaniowskiego sprawie,
W końcu rozwikłać mogłem tajemnicę:
Co dało powód do zbrodni Orlice?
Gdy, w ciemnej nocy, przez widmy czy czarty,
Czy, jak wieść była, za rządcy namową,
Zdjęto wisielca (odpowiadał głowę
Z pod czyjej trupa uwieziono warty),
Brat tej dziewczyny był wtedy na straży:
A serce rządcy do Orliki biło;
Życie jej brata w ręku rządcy było:
Lach, niepuszczając pory co się darzy,
Hardej dziewczynie daje do wyboru:
Tytuł swej żony, lub srogą śmierć brata; —
Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
Biedne małżeństwo gdzie diabeł za swata!
I tak, dla brata, miłość poświęciła,
Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiarę;
A dla miłości, inną ma ofiarę:
Zabiła męża i siebie zgubiła!

30.

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia,
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bielały, —
Ulewna burza brózdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą usłana, mogiła zapada:
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.

PRZYPISY

DO

CZĘŚCI PIERWSZEJ.

NOTA I.

W powstaniu na Ukrainie w r. 1768, zamek kaniowski, równie jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy, czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków, i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając, przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza, opierała się o ściany, póki jej niedognano i niezamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się niedały zetrzeć, i trwały dopóty dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te, zresztą, gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. — Kaniów jest małe i liche miasteczko; mieszczani jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

NOTA II.

„*Luba puszczyka siedzi naperzona.*"

Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu: iż diabli wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot, i że puszczyki dla tego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologia gminna wpół-strasznemi, wpół-komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezyi naszej.

NOTA III.

„*Tam: nieszczęśliwy znikły we złym wichrze,*
„*Czerwony upior*, i t. d."

Są-to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr kręcący się po polu, który, wreszcie, po tutejszych nieobejrzanych płaszczyznach, nierzadko widzić, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wicher ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd niewiedzieć gdzie zniknęli. Inną razą, nóż poświęcony rzucony w słup kręcącego się wichru upadł na ziemię w tem miejscu krwią obryzgany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w „Maryi" Malczeskiego:

„*Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.*"

Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłostkach z kobietami często posłyszyć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błąkają się w powietrzu, jęcząc inarzekając, póki kto nieośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

NOTA IV.

Cyt! *„ho-hop, ho-hop!» odgłos smutny, znany.*

Wprowadzona tu osoba topielicy Kseni jest także myśl pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego niestanie, czegoby nieprzepowiedziało nadzwyczajne zjawisko, — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają koliszczyzną, i szczególniej rzeź humańska (o której nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewnie nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innemi, przez dziwną obłąkaną kobietę, czy opętaną, która, z hukami i niezrozumiałą mową, przebiegała sioła Ukrainy. — Niemam ja tu myśli tłómaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

PRZYPISY
DO
CZĘŚCI DRUGIEJ.

NOTA I.

Leć do starosty. On, śród Bohusławia.
Poi gromady, rozstrzeliwa baby.

Mikołaj Potocki, banit, starosta kaniowski i bohusławski. Jest-to jedna z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę, opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłostkach, i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście; a powieść ich lubo nie w tak dalekie przenosi czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie, i jego ciało pokazują, ze szczególną attencyą, miejscowi księża Bazyliani. On-to, w skutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki, pyszny ten klasztor wydźwignął i nadał.

NOTA II.

Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło, szubienic stawia tysiącami.

Wojewoda Stempkowski poskromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nieustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński.

PRZYPISY
DO
CZĘŚCI TRZECIEJ.

NOTA I.

O, nieraz, może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona. i. t. d.

Jest-to szczegół dochowany tradycyą. Podczas ciągłych nabiegów tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział że horda w pobliżu koczuje, dla bespieczeństwa, zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile, lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów, i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamię popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf!

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłómaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególniej chłopców i dziewcząt, na środek sioła, który oni nazywają u ł y c i a, ulica, dla spiewania różnych pieśni, co się, nieraz, daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud, wiedząc jakie klęski ponosi kiedy na spiących natrafią Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebespieczeństwa, na noc zbierał się razem, i, dla odpędzenia snu, spiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj

został, chociaż niebespieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cienistych dębów Ukrainy, które, w ciągłych zaburzeniach i wojnach, zapewne, niejednemu chroniącemu się śmierci, były pewniejszą opieką niż ściany własnego jego domu.

NOTA II.

Albo ten wieczór, ten ogień kupały!

Zwyczaj palenia ogniów w wilią S. Jana zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go tu k u p a ł o. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile żeby na nie niespodziewanie napaść: wtedy cicha nocna scena zmienia się w najtłumniejszą; krzyki, spiewy, rozlegają się w powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na rzece Taśminie: tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blisko Smiły, w rozległych sosnowych lasach: znacznego ogromu, szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy śród rozstępu siniejących lasów; wieś, prawdziwie ukraińska, ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewnie do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie w koło jeziora. Obraz świateł rybackich na jeziorze, wspomniany w tekscie, powtarza się tu każdego wieczora, i tworzy prześliczną wodną illuminacyę.

NOTA III.

Coż-to za dziwna strona się odsłania? i. t. d.

Widok ten jest, prawdziwie, rysowany z natury. Zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną się, na szerokości

może trzech werst, bagna i trzęsawiska nazywane Irdyń. Najpewniej jest to stare łoże Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór wznoszących się piątrami, rozciągnionych szeroko, i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośredniem pasmie, hrabia Woronców, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyniec, na 8 werst rozciągniony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone: i każdy dziedziniec, ze swemi zabudowaniami, składa najpiękniejszą formę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów w porozpinane gałęzie akacyi białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady, — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszem jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest-to cypl jednej góry (nienajwyższej jeszcze): pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór okrytych lasem; dalej, pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem, i, gdzieniegdzie, olcha; za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siną wstążką; — a tam, z drugiej strony, niskie, piaszczyste brzegi, wsie, miasteczka i monastyry już połtawskiej gubernii. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil w około.

NOTA IV.

Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie.

W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Jrdyniu. Zdarzyło się autorowi iż, będąc w tej okolicy, słyszał właśnie na miej-

scu, opowiadanie o tem spotkaniu przez czerńca, dozorcy młyna należącego do pobliskiego monastyru, i naocznego świadka. Tu Jrdyń nie jest tak grząski; w suchą porę daje się przejeżdżać; w większej części zarosły olchami niepospolitej wielkości, gdzieniegdzie tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Smiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycya pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że niemamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej geografii, ani zbiorów żadnych historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski Eugeni za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz niewiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych, lub nieznających ceny tych walających się w pyle ich nog pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nie rozorane do szczętu mogiły, pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych, i słyszeć można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha: tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera; a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.

POEZYJE LIRYCZNE.

WIECZOR.

Widok to wielki! roskosz czarodziejska,
Ta okolica, ta w czasie godzina,
Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna.
Tam w dali! wrzawa oniemiała miejska,
Błyszczą mdłe światła w mieszkaniach człowieka,
Jak skry rozpierzchłe niepewnej nadziei;
A oddalony, ponury szum kniei
Żyjącą duszę ostrzega zdaleka,
Że tajemnice, zbronne ludzi oku,
Mają się począć w północnym drzew mroku.
Wyszedł i księżyc, smutny syn wieczora,
Ze śmierci cerą, z wejrzeniem upiora;
Migają gwiazdy po niebie rozsiane,
Niby promyki stworzeń przeznaczenia,
Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane.
O w jakież światy unoszą te dziwy,
Ziemi i niebios, jasności i cienia!
O jakże ciemny, o jak nieszczęśliwy,
Kto pełnem sercem pojąć ich nie umie!

Jedna-to roskosz w ziemskich uciech tłumie,
Zawsze nam nowa, zawsze w pogotowiu,
A niezależna całkiem od nikogo:
Kiedy, tak wszystko opłacamy drogo
Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu,
Tu dość chwil kilku, i kilku łez czystych.

MATKA PRZYRODA.

Na przyjaźni zawiedziony,
Z kochanem sercem skłucony,
Gdy mi dogryzie złość ludzi,
Gdy mię wrzawa świata znudzi,
Gdy mię ciężar życia strudzi,
Jeszcze na rospaczy drodze,
Ulgę i życie znachodzę.
Przyrodo błogosławiona!
Wtedy, jak pieszczone dziecko,
Garnę się do twego łona,
Aż mię przytuli, ukryje,
Darmoby tam oko czyje
Wyśledzało mię zdradziecko.
Choćby łza słońcem błyszczała,
To w rąbku ze mgły utonie;
Choćby szatan ryczał w łonie
Burza-by go niewydała.
A tak, po krótkiej pociesze,
Spłakane oko, w blask żywszy,

Usta, w uśmiech przystroiwszy,
Znowu między ludzi spieszę;
A gmin woła: „To są dziwy!
„Jaki on zawsze szczęśliwy!"

NAD PŁACZĄCEM DZIECKIEM.

Jeszcze pół-mrzące w anioła objęciu,
A już łzy leje tak gorżko, tak wcześnie!
Może-to ziemia cuci tak boleśnie?
Może to człowiek przyśnił się dziecięciu,
I zmora bytu w te pierwospy życia,
Odkrywszy jemu nagie swe ponęty,
Bolem powlokła pieszczoty powicia,
Łzami zalała śmiéch nierozwinięty?
O niechaj płacz ten, przyjęty w daninie,
Przewodnią strugą przed tobą popłynie,
Naprzód kupując przejście, i niech razem
Nasiewa drogę twej pielgrzymki kwiatem.
Alebo trzeba grobowym być głazem,
I patrzyć okiem trupa lodowatem,
By się, choć obce serce, nie zabiło,
Całą miłości macierzyńskiej siłą,
Że wywabiona na gody żywota,
Ufna, bezbronna, półrajska istota,
Pośród nadziei i żądz oblubieńca,
Uczuwa żądło cierniowego wieńca,

I w pierwszym kroku znosić musi tyle,
I dla tej tylko lichej szaty ciała,
Kiedy już wieczność przeszłości przespała,
Czy to w kolebce światów, czy w mogile.
Skłońcie się jednak z tem skarzącem czołem,
Skłońcie się w modłach przed jego aniołem:
Niech te kropelki w swoje łono zbierze,
Niech tam jak źródłem zamknięte jaśnieją,
By w skwarach życia były mu nadzieją,
Były ochłodą, a módlcie się w wierze,
Iż prośby wasze mimo nie prześlizną,
Bo niemasz może, prócz łez za ojczyzną
I boleśniejszych i czystszych na ziemi,
Jak łzy rodziców nad ich maleńkiemi.

BŁĘDY GENIUSZA.

Czy skrzeczy rozum poziomy,
Czy szydzi zawiść złośliwa,
Ty leć za duchem, który cię porywa,
A ten przeniesie nad bezdna i stromy.
Za prawdą idzie proste sumienie;
Prostemu czuciu zawierzyć trzeba.
Duszy zawierzyć, skoro twoje pienie,
Pienie niestrojne w jej strunach zadrgało,
Toś jej zaspiewał od kolebki nieba.
To w ogniach twego zapału
Rodzinne słońce dla niej zaigrało.
Nie lękliwie! nie pomału!
Zostaw, zostaw komu błogo
Krążyć bitą ziemską drogą.
Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie;
Kiedy rozumy płaskiego rzędu
Zagasną w pyle i pocie.
Wzbijaj się prawy Poeto,

Z poddaniem twemu natchnieniu,
Z pełną wiarą w jego mocy,
Zawsze po duszy promieniu!
On cię złączy z duszy metą.
Jeszcze krok na twej drodze, a nie będzie nocy.

POŁUDNIE.

Samo południe! uroczysta chwila!
I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni
Czasem się listek jak do snu przechyla,
I blask barwiony źrenicę podraźni.
A w sinej przezroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce spaniale,
Cicho się toczy.

Cicho się toczy po nad ciszą ziemi,
W pobliskich trawach brzęczy trel konika,
Ulotny wietrzyk, nad braćmi spiącemi,
Przez czujne listki, zlekka się przemyka.
Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A wkoło głucha
Wrzawa zmącona.

Wszystko, ach! wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne kłuci;
Kiedy mgła myśli świat cały opruszy,
Cóż stąd że słońce blask oka ocuci?
Na cóż te śród nieba,
Te śród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje.

Ty coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił,
Ty coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami napoił,
Objaw mi, o Boże,
Jak, jedno dzieło twych ręku,
Różnić się może,
W tym zgododźwięku!

ROZSTANIE SIĘ Z PRZYJACIOŁMI.

Zaszumiał wiatrem wierzch drzewa zielony,
Po cichych wodach błękit się rozlewa;
Już-to nie błękit ukochanej strony,
Nie lubych spomnień te kwiaty i drzewa.
Spłynęły one, spłynęły daleko
I bez powrotu przeszłości rzeką.
A w moich czuciach tak pusto, tak ciemno,
A świat tak nagi, tak obcy przedemną,
Że dzikie oko błąka się dokoła,
Jak wzrok pchnionego do piekieł anioła.
Więc już nie ujrzę was po tym rozdziele,
Mojego serca drodzy przyjaciele?
Więc mi już wasze nie zabrzmią godziny,
Ciche uciechy dobranej drużyny?
Gdy ta myśl jedna uderzy do głowy,
Wtedy łza szczęścia, przeszłości sierota,
Nabrzmiała rozpaczą, spłynie
W obecności jad żółciowy,
I w potwornej mieszaninie
Tak zmąci puhar żywota,

Że łamiąc ręce wołam, jak bóstwo syn ciała,
Gdy mu napój podano śmierci spragnionemu:
„Czemuż mię, o mój ojcze, opuściłeś, czemu?"
Biada mi, że tak wołam! zasłona wciąż cała,
I słońce wciąż dokucza spojrzeniu mojemu!

PORADA.

Oko twe miłe, jak niebo pokoju,
Jak słońce błyszczy w uciszonym zdroju,
Tąk cicho dusza w twych oczach spoczywa.
Po wdziękach lica lękliwie i skromnie,
Różową chmurką rumieniec przepływa; —
Pojrzałaś na mnie, uśmiechasz się do mnie.

Posłuchaj piękna, posłuchaj mię chwilę.
Gdyby to oko patrzące tak mile,
Mojemu oku odpowiedzieć chciało,
Cobyś pragnęła wziąść odemnie wtedy?
Weź sobie rozum — rozum? — to za mało:
Szału miłości będzież on wart kiedy?

Weź sobie rozum, dodam życie jeszcze,
Ja tylko jednym całunkiem popieszczę.
Niech stracę rozum, niechaj sam zaginę,
Dość mię nagrodzi jedno całowanie,
Za tę rozumu, i życia godzinę!..
Co? ty się zgadzasz, pomyśl, a niebianie!

O! roskosz ze mną nie ujdzie bezkarnie,
Niech się niewinność do twej piersi garnie,
Bo pokój nieba twoją pierś nasyca,
A w mojej, słyszysz, jakie burze wyją?
Jak rajskie źródło czysta twa źrenica,
Niechaj anieli roskosze z niej piją.

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego,
Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
Póki szanuję niewinnej swobodę,
Póki trwam jeszcze w dzikiej cnoty szale;
A za jedyną mych cierpień nagrodę,
Bądź dla mnie srogą, zapomnij mię wcale.

DO WYŚNIONEJ KOCHANKI.

Kiedym był jeszcze w latach dziecinnych,
I sny tęsknoty w przyszłość mię gnały,
Wiecznych mi śniegów kraj się uśmiéchał,
Leciałem duszą w podniebne skały;
Ja niewiedziałem, żem wzdychał,
Do twoich krain rodzinnych.

Kiedym się palił młodości latem,
Burzami serca do snu chuśtany,
Marzyłem ciągle jakąś pustynię,
Gdziebym spieczony, upracowany,
Zamieszkał dziką jaskinię,
I żył cicho, jak za światem.

Jakże się prędko te sny sprawdziły!
Tułacz ja dzisiaj, światu nie żyję,
Błądzę po ziemi, jak po jaskini;
Jak sklep ze skały, niebo mię kryje;
I tylko spokój pustyni
Pożądany mnie i miły.

Ale i ową gwiazdeczkę jasną,
Co te sny złotą rąbiła tkanką,
Wyśniłem sobie w zaświatnej dziczy;
Ciebie wyśniłem, moja kochanko;
Świeć-że mi, duchu strażniczy,
Świeć, póki oczy niezgasną.

DO .....

Kocham ciebie, mój aniele!
I taką mocą kochania,
Że dumne serce temu się nie wzbrania,
Że, jak do cnoty, przyznaje się śmiele.

Ja kocham! — i mówię śmiało:
Kocham ciebie, mój aniele!
Ja co przedlaty, przededni niewiele,
Zniszczyłbym serce, gdyby kochać chciało.

Jakże spadła moja pycha!
Jakaż siła w twej pokorze!
Mnie, co niedawno burzył się jak morze,
Panuje teraz jedna gwiazdka cicha.

Widzę po oczach ukośnych,
Słyszę w pokątnym uśmiéchu,
Jeden drugiemu podaje pocichu:
Patrzcie! szaleniec płomieni miłośnych!

Nie! mój rozsądek, o miła!
Tak jasny, jak oko twoje;
A w całej duszy tak błogie pokoje,
Jak żeby twemi uśmiechami żyła.

Znikł mi w tobie ród niewieści!
Ty zostałaś przy tułaczu,
Świętą kropelką anielskiego płaczu,
Co leczy duszę z czyscowych boleści.

SZCZĘŚCIE CZŁOWIEKA.

Wyszedłeś na świat dziecięciem;
Matka tuli cię objęciem,
Przyroda w zawód rozkłada dziwy,
Wszystko cię wita wesoło,
Same pieszczoty w około,
A ty odpowiadasz płaczem,
Płaczesz! niewiedząc i czego i zaczem?
Widać, nie będziesz szczęśliwy.

Przebiegasz młodzieńcze lata;
Zrywasz wszystkie kwiaty świata,
Jak wietrzny mędrzec, jak wietrznik tkliwy.
Roskosz sama cię ugania,
Piękna, jak anioł kochania,
Chce, jak szczęścia, serca twego,
Ty jednak tęsknisz! zaczemże? do czego?
Widać, nie jesteś szczęśliwy.

Dosiągłeś potęgi męża;
Zgniotłeś namiętności węża,
Ukołysałeś zapał lat burzliwy,
Coś pragnął, wszystko posiadasz,
Wielkiemi skarbami władasz,
W zaszczyty chwała cię stroi.
Ciebie coś jednak smuci, niepokoi,
Jeszcześ, widać, nieszczęśliwy,

Choroba wieku niemiła
Zgarbiła cię, wywędziła;
W dół spadły oczy i głowa siwa,
Teraz jesteś nieszczęśliwy.
Nie; rzecze dusza, włos siwy
Jest kwiatkiem innego życia,
Głowa się chyli do ziemi powicia,
Tam spiesz, tam szczęście przebywa.

BURZA.

Dzień pobladł, powietrze ścichło;
Rosną, postępują chmury,
Jak z nocnych mroków ulane góry,
Coraz i ciszej, i ciemniej — nie rychło
Zawył wichrów świst ponury,
I znowu wszystko ucichło.

Mnożą się obłoki w dali,
Po niebach, jak po opoce,
Coraz to głośniej piorun hurkoce,
Coraz to jaśniej długi błysk się pali,
Aż dzień utonął w pomroce,
A niebo w nawałnic fali.

I ot nad głową prysnęły,
Morza chmur błysku rozświtem;
Gromy po gromach wstrzęsły błękitem
Zda się, że głębie światów odjęknęły
Dzikim konwulsyjnym zgrzytem,
I bladą trwogą olsnęły.

Zdaje się, że zégar kary
Dźwiękami śmierci wygrywa.
Jakże ta chwila wielka, straszliwa!
Ktoż ją przetrzyma bez uczucia wiary?
Czyjaż-tu krew nie przepływa
Przez żary, lody i żary?

A ty na te gromów łomy,
Na te nieba w błyskawicach, —
Zimną spokojność trzymasz w źrenicach,
Chociaż i tobie grozi skon widomy?....
— Kto zrósł w serca nawałnicach,
Temu nie straszne te gromy!

ROZMOWA Z SŁOWIKIEM.

Jakże luba ta altana,
Ocieniona żywopłotem,
Chłodzona wiatrów przelotem.
Ach! w twojej ciszy, moja kochana,
Powierniczko mego łona!
Czucie ziemskości do reszty kona!

Śród grających fal światłości,
Śród rzeźwego bytu wrzawy,
Jak płomyk mogił bladawy,
Przyćmiona dusza, w marzeń cichości,
Innem życiem tutaj dyszy,
Zaledwie widzi, zaledwie słyszy.

Ktoż mię z tego snu ocucił?
Ha! to słowik usiadł blisko,
Zahuśtał liści kołyską,
Zwrócił się ku mnie, tęsknie zanucił,
I spiew, chwilkę postrojony,
Spiew swój słowiczy w ludzkie zlał tony.

Tam nad kwiatkiem brzęczą pszczoły,
Tam ptaszyna za ptaszyną
Slizga się gętką krzewiną,
Tu borze wiatry motyl wesoły.
Wszystko igra śród użycia,
Wszystko cię nęci, wzywa do życia.

A ty leżysz, jak zmartwiały,
Nic cię z dumań nie poruszy,
Czegoż trzeba twojej duszy?...
Nic jej nie trzeba, mój ptaszku mały,
Ni od ziemi, ni od nieba,
Tylko swobody, swobody potrzeba.

TOPIELEC.

Złowrogich losów szaleje burza,
Żeglarza ziemi w jej topielcach nurza,
Tonie, tonie moja łódka
Serce cały mój ładunek,
W tym spiewie cały ratunek;
O jakże ciężka ta żegluga krótka!

Wybrnę czasami nad gorzkie fale,
I brzemię skonu piersiami odwalę.
A wtedy cała pociecha,
Że wciąż ta sama piosenka
Na rozliczne tony stęka.
I w szumie burzy szuka choćby echa.

Czasami, widzę, stoją zebrani
Słuchać u brzegu wołanie z otchłani,
Ale mało tam kto słyszy;
Ale jeszcze mniej rozumie.
Spiew lub za cichy w tym tłumie,
Lub za okropny dla pieszczeńca ciszy.

I oto jednych gromy spłoszyły,
Innych odwodzi tęczy widok miły.
Do uciech pobiegli biedni.
Nie wielu z nich pozostało
Słuchać w spółczuciu i śmiało,
Moich narzekań, sobie przepowiedni.

Skołatanego serca znajomi,
Mojego spiewu żaden z nich nie zgromi,
Bo w pomroku takiej doby,
Gdzie czucie słabo przyświéca,
Jak w burzy oko księżyca,
Nikną dobrane, promienne ozdoby.

Smutne ofiary niszczących losów,
O przyjaciele tonącego głosów,
Dla was moja pieśń nie zginie;
Odejdziecie w myśl zamknięci;
Westchnienie po mej pamięci,
A łza topielca i wam z ócz popłynie.

TĘSKNOTA.

Smutne nad ziemią błękitne pola;
Posępnym blaskiem słońce w ziemię strzela,
Jak z łez litości, oko przyjaciela,
Kiedy dniom drogim grozi niedola.

Niszczący powiew jesiennej doby
Z lica przyrody wdzięk po wdzięku zmiata,
A nowa troska i nowa utrata
Wypełnia kielich mojej żałoby.

Na chorą ziemię padam raz jeszcze
Jak na kochanki konające ciało,
Sledzę, przenikam gdzie życie zostało,
I pozostałe ogrzewam, pieszczę.

I sam moc tracę przez trud bezpłodny,
I sam omdlewam — szumi myśl drzew szumem,
Czasem wiatr życia zarzuci mię tłumem,
Czasem na lice pryśnie deszcz chłodny!....

Kiedym się w kwiatek życia rozwijał,
Kiedy uczucia w pączkach jeszcze spały,
Strumyk tęsknoty czysty był i mały,
Rajskie widziadła na dnie odbijał.

Pokornie płynął; a jeśli wylał,
Chętnie skąpałem serce w jego wałach;
Wybrnąłem we łzach, jak w rosy kryształach,
Łzami, jak rosą, życie-m umilał.

Ach! coż się stało z owemi dniami?
Strumień tęsknoty jak potok się ciska;
Źródło dla niego trumny, i zwaliska,
Krwią się zapienia, przybiéra łzami.

A żadnej schrony za mną, przedemną.
Popatrzę w życie, widzę wkrąg pustynie;
Puszczę się myślą, myśl jak oko ginie.
Chcę naprzód lecieć — jak w piekle ciemno.

Chcę nazad wrócić — tam grobów strona
Tylko w jej słońca połyskach ostatnich
Miga mar kilka, kilka duchów bratnich;
Przeszłość i przyszłość równo zginiona;

Obejrzę na siebie — jam kwiat opadły,
Drżący, samotny śród zgubnej powodzi;
A tutaj fala po fali nadchodzi,
Bliżej i szerzej warczy wir zjadły.

Przyszła ci kolej upaść z korzenia,
Jak rozburzyły niesłychane klęski.
Moją pierś młodą, mój świat czarnoksięski,
W rozpaczy tylko szukaj zbawienia.

Rzucam się w potok bez woli, siły.
Składam w krzyż ręce, i oczy zawiéram,
W jedną myśl martwą wszelkie myśli zbiéram;
Niech mię tak niesie choć — do mogiły.

O jakbym jemu pobłogosławił!
Gdybym aż w świata drugiego przezroczy
Musiał otworzyć te dłonie i oczy
Gdyby mię w życie wieczne tak spławił.

MODLITWA KOCHANKI.

Moja luba gdy ciszę upatrzy do koła,
To ulgi na kochanie szuka w świętych stronie:
Uklęka przed obrazem, załamuje dłonie,
Podnosi czarne oczy i, spiewem anioła,

»Matko boleści, matko miłości!» zawoła,
»Przez te miecze cierpienia, co tkwią w twojem łonie,
»Przez ukochanie syna, co z twoich ócz płonie,
»Ostudź ten żar któremu pierś jnż niepodoła.

»Ratuj mię, matko bolu! Jak miłości matka»....
Jam nadszedł i dokończył i modlitwę przerwaną:
»Zdarz, niech te prośby drogą potrzebą się staną!!!»

»Jakże tam nasze modły i miłości matka?»
Zapytałem niedawno z uśmiechem kochaną.
»Ach! wysłuchano, rzecze, lecz tylko ostatka!»

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się o luba! Sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w której wiecznie się rozstaniem.
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem
W zegarze naszych losów będą bić koleją.

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Ztępią się blaski spojrzeń próżnem wyglądaniem,
Przygasną ust płomienie mary całowaniem,
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją.

Nie! przestań, przestań płakać! mam jeszcze sposoby.
Z moich słów, z twego łkania piosenkę złożymy.
Skoro zechcesz mię ujrzyć, zanuć płaczu rymy;

Choćbym grobów był więźniem muszą pęknąć groby.
Co, ja gadam szalony? Marzę jak z choroby?
Tem lepiej, że się tracąc i rozum tracimy.

GOŁĄBEK Z POSŁANIEM.

Z której-to lecisz, gołąbku, strony?
Z takim ciężarem, taki znużony;
Czyjeż cię ręce pchnęły tak srogie
W taką przykrą drogę?

—I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
I ot! ten ciężar, co na nas kładnie,
I kraj skąd lecę, i kraj gdzie stanę,
Wszystko mi nieznane.

Nie wiém czy pańskie są w tem igraszki,
Lecz wiem że z duszy chcę być u ptaszki;
Tęskni kochanka, czeka mnie miła,
Smutna jak mogiła.

Ciężar co niosę przykry jak ciało,
Trudną, jak życie, drogę mam całą,
W słotach zaś, w biédzie, żadnej obrony
Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej, brzemię nad siły,
Złożyć na łonie tęskniącej miłej;
Gdyby już spocząć sobie, gdzie gości
Spokojność wieczności.

DO MOJEJ WIERZBY.

Dobry wieczor, wierzbo, tobie!
Tylko proszę, proszę wcześnie,
Niech liść żaden nie szeleśnie;
Jak drzymał niech drzymie sobie.
Bo usnęło serce moje,
A zbudzić je tak się boję.
Jak miło w tem uciszeniu,
Żaden powiew nie oddycha;
Po cichem nieba sklepieniu
Senny księżyc stąpa z cicha.

Och! i cóż się tobie stało?
Westchnąłeś — a to westchnienie
Przerwało serca uspienie
Zbudziło przyrodę całą:
Księżyc chmurami się dąsa,
Wiater liściami potrząsa,
A mar ugłaskanych roje
Co śród gałązek usnęły,
Spadły znow na piersi moje,
Znowu serce ssać poczęły.

Och! dobranoc, wierzbo, tobie!
Próżne spokoju żądania!
Serce dalej mię pogania,
Ja idę dalej, ty szum w żałobie,
Jak ja w żałobie odchodzę
Po ciernistej deptać drodze,
Szukać szczęśliwéj uboczy,
Gdzie głaz wiecznegu usnienia,
To czujne serce przytłoczy;
Gdzie usną same westchnienia.

ZAGADKA TKLIWEGO.

Czego zadumany chodzisz,
I kładziesz rękę na spieczone łono,
I po bladych gwiazdach wodzisz
Ciche westchnienia, powiekę zroszoną?
Czy chcesz wyczytać na niebie
Skąd te lecące bez celu westchnienia?
Skąd te płacze bez cierpienia?
Chcesz się odgadnąć? ja odgadnę ciebie.

Ziemia jak trumna spoczywa.
Żałobne pienia nucą jej puhacze;
Noc jak wieko ją przykrywa,
Księżyc, nad spiącą, jak nad zmarłą płacze.
Takiej właśnie trzeba pory
Aby się twoją zagadkę odgadło;
Weźmiemy tylko zwierciadło,
I pójdziem w pola, na góry, nad bory.

Patrzaj! oto obrócone
Ku księżycowi lustro go spotyka;
A teraz pojrzyj na stronę:
Widzisz błyśnienie! czy widzisz jak zmyka,
Jak przelatuje skwapliwie
Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska,
Chwilę na wodach połyska,
Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie...

A teraz, pojrzyj ku górze!
Jak to światełko pędzi całą siłą,
Ledwo spoczęło na chmurze,
Już przy księżycu, już się z nim złączyło.
Otoż w naszym ziemskim bycie
Tak niespokojnie dla duszy dni biegą,
Otoż zagadka tkliwego:
Księżyc jest bóstwem, tyś jego odbicie.

ROSKOSZ WIOSNY.

Tajemniczy ogień czuję!
Ten ogień, zmysłom wesela,
Sercu miłości udziela;
Ten ogień duszę przejmuje.
Ciebie-to, o wiosno! czuję.
O wiosno! twoja-to władza
Z głębi niebios go sprowadza.
Z błogosławionym oddechem wietrzyka
W łono ziemi on przenika;
Siedmiobarwi wstęgę tęczy,
Motyle skrzydełko wdzięczy,
Kwiatki koronami wieńczy,
Przemawia w pieniu słowika.
W zawoju świeżej róży się rumieni,
We łzach poranku barwami się pali,
Płomieniem gore na drzymiącej fali,
Gwiazdy zasiewa po marszczkach strumieni,
Cóż? kiedy duszę w jej głębiach przejąwszy,
Świat nowszym zmysłom otworzy nowszy;

Gdy w zmartwychwstania uroku
Odsłoni przyrodę oku,
I krew popędzi w uczuć ognistych potoku;
Ach jakież barwy! jakież odzienia
Wydadzą czary tego płomienia?
Z czemże go zrównam, o wiosno?
Może z roskoszą miłośną;
Może z tem obłąkaniem, co duszę zachwyca,
Kiedy wdzięku anielskiego,
Kiedy anielskiej pieszczoty dziewica,
Wyda się trwożnem spojrzeniem
Ze wzajemnym płomieniem,
I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
Nie, wiosno! I ja kochałem,
I niegardzono moim zapałem;
Znam ja miłości roskosze,
Poznałem twoje, i twoje przenoszę.
W tamtych niepokój, i cierpkie żądze,
Tam śród uniesień bojaźń straty czuję,
Trwożny o przyszłość, przeszłości żałuję.
Tam cierpię używając, unosząc się błądzę;
Zawsze tam szczęściu czegoś brakuje,
Jak żeby piekła z niebem spojono,
Z roskoszami anioła potępieńca bole.
Wolę ciebie, wiosno, wolę.
Skoro twoje tchnienia wioną,
I twoją duszę uczuje łono:

Wyższem życiem duch ulata
Do sfer nadziemskiego świata,
I upojony czuciami czystemi
Nie należy już do ziemi.

DWA ANIOŁY.

Już wieją pierwsze jesienne chłody,
Powracające ciągną żorawie;
Nim pierwszym lodem ranek zaśkli wody,
Krążący rybitw muska się w stawie,
I dla bagnistej czajka ustroni
Brzmiącemi skrzydły pożegnanie dzwoni.

Przez nieprzejrzane zblakłe pastwiska,
Na pajęczyny wątłym kobiercu
Słońce ostatkiem skarbów swych połyska;
Przy konającej lilii sercu
Więdnący motyl skrzydełko schyla,
Zastyga rosa — łezka dla motyla.

Wychyl się, słońce, wychyl w błękity!
Zadzwoń, o wietrze, przez jar ustronny
W pożółkłej trzciny upierzone kity;
Zadzwoń, spiewaku mój jednotonny!
Niech temu światłu, niech tej piosence,
Zabytek lata — spomnienie poświęcę.

Gdy kir chmur śnieżnych zwiśnie nad ziemią,
I wichrowate tchnienia zamieci
Kwiatami mrozu okna mi zaciemią,
Czem-że się wtedy świat mój rozświeci?
Kto mię śród nudów i wycia burzy
Błogiemi snami lepszych dni odurzy?

»Ja« rzecze praca: »ja cię obłokiem
Swojego świata przed zimą skryję.«
A wyobraźnia: »a ja cię urokiem
Swojego tańca zimie odbiję.«
I jak bliźnięta, objęte w poły,
Zleciały w moję duszę dwa anioły.

Witajcie, gońce dobrego nieba!
Niewyczerpane są wasze dary,
Tylko was godnie ugościć potrzeba;
Za przeżegnaniem anielskiej pary,
Napojem życia, duszy naczynie
Napojem chwały przez wieki popłynie.

Pod skromnej chatki poddaszem niskiem,
Gdzie założycie gospodę waszą,
Przed wieśniaczego kominka ogniskiem
Myślą się wieków skronie opaszą,
I milionom za miliony
Stanie samotnik przez was poświęcony.

DO MŁODEGO POETY.

Śmiało, śmiało, młody wieszczu!
Skoro w harmonijnym dreszczu
Gra dusza twoja pod Geniusza dłonią,
I struny dźwiękiem własnej duszy dzwonią.

Byleć do tonów twej duszy
Struny poezyi nastroił,
Granie ich echa niebieskie poruszy;
Niebieskeim echem będziesz ziemię poił.

Jest u nas ptak tajemniczy,
Pióro anioła dziedziczy;
Po takiem piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się brzmienia.

Zatop się w twoje uczucie,
A będziesz, jako ci ptacy,
A przedwiecznego anielscy spiewacy
Ziemskiemu sercu ozwą się w twej nucie.

Utoń w sobie, obejm siebie,
Nic w tobie nie jest powszedniém;
Ty cząstka bóstwa, tyś bóg w twojém niebie,
I świat przed tobą odkryty jak przed nim,

I taki wielki jak przed nim;
Jedna uczuć iskiereczka
Świat w sobie nosi, jak niebios gwiazdeczka;
Wszystko w tobie jest wielkiem, nic nie jest powszedniém.

ZIMOWA POGODA.

Igraj w zadumaniu cichem,
Igraj, samotnika serce,
Z posępnym zimy uśmiéchem,
Na każdej śniegu iskierce;
A wy precz, troski-morderce!
Precz! odemnie niepokoje.
I świat zmienia szaty swoje;
Jest blask wesela i w zimie.
Ot! ziemi kształty olbrzymie
Błyszczą w sukni uiskrzonej,
Niby w stroju narzeczonej.
Z bezładnego chmur posłania
Wychyliło się i słońce,
I w połowie rozdrzymania
Z podziwem ku ziemi skłania
Oko, pół-czujne, pół-spiące.
O bodaj został wyklęty
Kto staje pośród biesiady,

Jak potępionego mara,
I do spólnego puhara
Własnych łez przylewa jady;
Bodaj sam wypił te męty!
Dalej, serce, dziel biesiadę;
Dziel ją rade, czy nierade.
Smutek ciężko dni przewleka;
A może i tak daleka
Godzina, co nam odsłoni
Nieprzerwanych snów kolébkę:
Radości! twe skrzydła szybkie,
Roztocz je, i nieś mię do niej.

PRZEZNACZENIE GENIUSZA.

Na toż powstają Geniusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometą,
I potem zgasły bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Oneż się tylko marnie zatracą,
Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?
»Chwała światłości i cnocie;
»Hańba złemu i ciemnocie!«
Zawoła skielet mądrości,
Groźny anioł-stróż przeszłości,
Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami,
Liczy chwile, kolejami
Bytu i zniszczenia.

„Kto obecność pojąć pragnie,
„Ku przeszłości ducha nagnie,
„Ledwo drobny świat człowieka
„Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
„Dumny, przy swojej lichocie,
„Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
„I gaśnie w ciemnocie."
Przecknęła mądrość w twórcy osobie,
I tchnęła z boskich piersi, i Geniusz w tej dobie
Zeszedł na ziemię otwarcie,
I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
I już odtąd wiek po wieku,
Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
A ciało duszę ugniata,
Wcielony Geniusz zlata,
I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali;
A świat tymczasem pomyka się dalej.
Chwała wam, męże wyższego natchnienia!
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje;
Że przez was śród tego cienia
Zegar mądrości idzie i bije!

MOJA PIOSENKA.

Zegar życia bije,
Lata jak woda, spływają scicha;
Świat wesoło żyje,
Tylko mnie pierś wzdycha;
I kiedy wszystko, wszystkim się uśmiécha
Mnie żałoba wszystko kryje.

Innych przyjaźń pieści,
Śmieją się, innym, usta kochanek,
Tylko mnie w boleści
Schodzi życia ranek;
Na mojej skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświeca dzień złotem czołem;
Smutne grobu szaty
Żywy naciągnąłem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Moim światem lepsze światy.

DWIE GWIAZDY.

Witajcie moje gwiazdy! Jak płyną tak płyną
Wiecznie światło ku światłu, i promyk z promykiem;
Śród zamieci stworzenia, między światów szykiem
Nie rozłączą się jednak, ani sobie zginą.

Witaj mi tajemniczej miłości drużyno!
Jeszcze młodzieńczych uczuć zakarmiany mlékiem,
Bełkocący od serca piastunki językiem,
Lubiłem brnąć za wami błękitną głębiną,

I straciłem was potém w żywota zawiei,
By straciwszy na niebie znaleść u kobiety,
Gdyście z serca kochanki wyszły na jej oczy.

Dziś mi znowu świecicie w błękitnej przezroczy.
Dziś was znowu spotykam i witam, niestety!
Już na niebie — jak godła tęsknot i nadziei!

GWIAZDY NIEZAPOMINKI.

Piękny, luby jest ten kwiatek,
Bo go rączęta twoje zerwały;
Drogi dla mnie, bo twój datek,
Ależ nietrwały, ależ nietrwały.
My przysięgli, moja duszo,
Że się będziemy kochać do grobu,
I pamiątki więc być muszą
Trwalsze niż kwiatek, trwalsze dla obu.
Tam, o luba, tam na niebie
Niezapominków łąka nam gore.
Tam dla siebie i dla ciebie
Wieczny, jak niebo datek wybiorę.
Te dwie gwiazdy, te jaskrawsze,
Co jak małżeństwo ciągle przy sobie,
Dla nas będą, dla nas zawsze;
Jedną ja wezmę, drugą dam tobie.
Nas na ziemi los rozdzieli,
Nic nie rozdzieli gwiazdek na niebie;
W nich będziemy się widzieli,
Okiem ich będziem patrzać na siebie.

Takie kwiaty kwitną jasno,
Barwy co z nieba nigdy nie zbędą,
Kwitną oczom, gdy te zgasną,
Naszym ach! duszom kwiecić się będą.
Czuje prawdę słów dziewica
Chociaż gwiazdeczki zgasły w obłoku.
Gwiazdy zgasły, bo przyświéca
Całus na ustach, miłość na oku.

BRZOZA I ŹRÓDLO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?
Myślałem, o drzewko, krasne!
Że to brzęczy, głos miłego.
Myślałem, o źródło, jasne!
Że to błyszczy oko jego.
Brzózko w zielonym zawoju,
Wiater gra ci po warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.
Nie! to on, to on, daleko!
Spomniał sobie że tu miła,
I swoje oczy, tą rzeką,
Serce, wiatrem tym przysyła.
Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu,

Bo w noc wiernie i skrycie
Biedna przyjdzie tu dziewczyna,
I spyta, a wy powiécie:
Żyje, żyje, i spomina.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Chodźmy, Janie, na to wzgórze,
I usiądźmy tu, pod brzozą.
Płynie jesień w mglistej chmurze,
Goniec zimy gwiżdże łozą;
A tam! na wierzchołku drzewa
Skielet wianuszka powiewa.
Czy pamiętasz ten spoczynek,
Gdy go nasze plotły dłonie,
I zawiesiły w tej stronie
Przyjaźni na upominek?
Czy pamiętasz jego farby
Przy letniego słońca blasku?
Jak zmieszane światła skarby
W czarodziejskim tęczy pasku,
Tak płonęły jego farby;
A dziś, patrz, jak trupie lica,
Taka zimna, taka blada,
Niebieska jasność przyświéca,
Na zczerniały wianek pada.
Uważ, uważ co się dzieje
Z pięknym przyjacioł wianuszkiem!...

Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
Światło gromnic zajaśnieje;
Kiedy śmierci Anioł niemy
Zamgli źrenicę chorego,
W milczących twarzach niesiemy
Smutki ostatnie — dla niego.
Jak tam wyraźnie czujemy
Po boleśnem serca biciu,
Że ubywa węzła życiu,
Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa.
Czucia ten łańcuch składają,
Gdy się mnożą, rośnie życie,
Psuje się, umniejsza skrycie
Kiedy czucia przemijają.
Po co tak smutne marzenie?
Rzućmy je; tutaj nasz wzgórek,
Tu nasze zblakłe zielenie!
Niechaj z błędnym lotem chmurek
Po przeszłości myśl ulata;
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiątką szczęścia bogata;
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Dzisiaj wiatrami tarzane,
Krąży, igra jakąś chwilę
Po tumanach i po chłodzie.
Niechaj igra, a my siądźmy,

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Wytłoczono u J. P. Sollingera W Wiédniu.

75-30093
12 III 69 081297

L W Ó W.

Nakładem Franciszka Pillera i Spółki.

1838.